ŻYCIE

ROK XI NR 26 (523) NIEDZIELA, 30 CZERWCA 1957 R. CENA 1/6



KS. ARCYBISKUP BARANIAK
w czasie Mszy św. w Bazylice Serca Jezusowego u Salezjanów rozdaje Komunię Świętą.

ŻYCIE

[illegible] TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK XI NR 26 (523)

Niedziela, 30 czerwca 1957 r.

Wydaje:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS", — 12 Praed Mews, London, W.2.
Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3 - 4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.

Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata (płatna z góry): miesięcznie: szyl. 6/6, dol. 1.10, fr. fr 330; **kwartalnie:** szyl. 19/6, dol. 3.00, fr. fr. 975; półrocznie s. 39/-, dol. 6.00, fr. fr. 1.950.

Wpłaty: a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji „Życia". Zmiana adresu sh 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez 1 łam — £ 1, dol. 3.00, fr. fr.1.000. Kolor. 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca", Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia: „Społem",** 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; **R. Treister,** 138 Burton St., Darlinghurst, N.S.W. **Belgia: Mme E. Kulakowska,** 129 Rue du Cornet, Bruxelles 4. Pren. kwart. 130 frs. **Brazylia: Książnica Polska,** Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka,** Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania: Ks. O. J. Szymaszek,** Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja: Ks. K. Stolarek,** 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. **Holandia: B. Galas,** Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada: Canadian Mosaic Publishers,** Suite E, 4118 Western Av., Montreal 6; **International Book Service,** 57 Queen St. W., Toronto. **Niemcy: St. Mikiciuk,** Gablonzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 10 MD. **Norwegia: B. Łubiński,** Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjedn.: „Gryf Publication",** 296 Sheridan Av., Albany, N.Y; **M. Kijowski,** 380 North Av., Dunellen, N.J.; **„Pomoc" — Eksport-Import,** 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N.Y.; **S. J. Rozmysłowicz,** 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; **Mme J. Stojanowska,** 424 Ave. „E", Bayonne, N.J.; **Veritas Americana,** 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 55, N.Y. **Szwajcaria: Mme B. Gierszewska,** Wallisellenstr. 483, Zurich, konto pocztowe: Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 9.75 krs. **Włochy: Mme Z. Kurowski,** Lund, Revingegatan 13B Pren. kwart. 9.00 fr. **Szwecja: Mgr. B. Bulhak-Jelska,** via Salaria 300 C Roma.

KRONIKA

SREBRNE GODY KAPŁAŃSKIE KS. MGR. KAZIMIERZA KRZYŻANOWSKIEGO

W dniu 19 czerwca br. minęło 25 lat od dnia, kiedy ks. Kazimierz Krzyżanowski otrzymał w płockiej bazylice katedralnej święcenia kapłańskie z rąk ks. arcybiskupa A. J. Nowowiejskiego.

Ks. K. Krzyżanowski jest synem ziemi dobrzyńskiej, urodził się w roku 1906 we wsi Żałe, jako syn rodziny wiejskiej i był najmłodszym z dziewięciorga rodzeństwa. Szkoły średnie ukończył w Brodnicy na Pomorzu i rozpoczął studia prawno-ekonomiczne w Poznaniu. Niedługo jednak kierowany powołaniem kapłańskim wstąpił do Większego Seminarium Duchownego w Płocku, które ukończył w roku 1932 i w tymże roku otrzymał święcenia kapłańskie wraz z dziewięcioma kolegami. Wśród nich był obecny biskup sufragan płocki ks. Piotr Dudziec. Pierwszą Mszę św. odprawił ks. Krzyżanowski w Tomaszowie Mazowieckim.



Już w czasie jego studiów przełożeni zwrócili uwagę na uzdolnienia pedagogiczne młodego alumna, toteż od razu po wyświęceniu skierowano go do szkoły jako prefekta w Dobrzyniu nad Drwęcą, gdzie też przez jakiś czas administrował parafią, opiekował się kołami Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej i założył Stowarzyszenie Pracownic Domowych.

Odznaczający się talentem kaznodziejskim, a przy tym niezwykle muzykalny, interesujący się muzyką i śpiewem kościelnym i obdarzony pięknym głosem, młody kapłan zostaje wnet przeniesiony do Płocka na stanowisko wikariusza katedralnego. I tu znów jest ks. Krzyżanowski zarazem prefektem szkolnym, opiekuje się Krucjatą Eucharystyczną, dla której opracowuje specjalny Katechizm (doczekał się przed wojną czterech wydań w Krakowie u oo. jezuitów), redaguje miesięcznik katechetyczny pn. „Religia w szkole" i przed samą wojną staje na czele płockiego Koła Prefektów. Jest jednym z tych młodych kapłanów, którzy pod przewodnictwem diecezjalnego wizytatora nauki religii w szkołach, ks. J. Krystosika, opracowują nowe metody nauczania religii i duszpasterstwa szkolnego i nawiązują żywy kontakt z nauczycielstwem szkół powszechnych i średnich, którzy stanowisku księdza prefekta w szkole przywracają jego właściwe i pełne znaczenie kierownika duchowego całej szkolnej pracy wychowawczej.

Od pracy tej odrywa wszystkich wojna. Ks. Krzyżanowski wyrusza z Brodnicy z 67 pułkiem na kampanię, jako jego kapelan rezerwy i w połowie września 1939 roku dostaje się pod Iłowem do niewoli niemieckiej. W oflagach VIIB w Eichstätt i IXC w Rotenburgu nad Fuldą organizuje wraz z dwoma innymi kapelanami duszpasterstwo obozowe dla oficerów polskich w niewoli. Ale w roku 1940 na wiosnę zostaje wraz z innymi polskimi kapelanami z oflagów i stalagów aresztowany i osadzony w kacecie, najpierw jest trzymany w Buchenwaldzie przez 2 lata, a potem w osławionym Dachau, gdzie jest trzymany 3 lata. Wolność z końcem kwietnia 1945 roku zastaje go w szpitalu obozowym po kryzysie tyfusu. Wnet przenosi się do Murnau, skąd szefostwo duszpasterstwa 2 Korpusu powołuje go do Włoch i powierza mu stanowisko kapelana 12 pułku Ułanów Podolskich w Cingoli pod Loreto. Wraz z pułkiem tym przyjeżdża do Anglii, do obozu Shobdon (Hereford) i tu, obok pracy duszpasterskiej w swym obozie spieszy też do rodaków w okolicznych skupiskach, w Kidderminster, Drakelow, Summerfield i innych.

W roku 1948 zostaje przeniesiony na stanowisko prefekta w polskim gimnazjum żeńskim im. M. Curie-Skłodowskiej w Grendon Hall (koło Aylesbury), gdzie uczy też śpiewu i prowadzi jako moderator Sodalicję Mariańską. Pod jego kierownictwem szkoła wystawia znane widowisko regionalne pn. „Wesele na Kurpiach", opracowane przez kapłana płockiej diecezji ks. Wł. Skierkowskiego, znanego zbieracza melodyj ludowych i obyczajów regionalnych. Uczennice gimnazjum w Grendon Hall korzystają wiele z nauki i obecności wśród nich tak muzykalnego prefekta, cała szkoła rozbrzmiewa tylko polską pieśnią, a „Wesele na Kurpiach" oglądają wszystkie polskie szkoły średnie w Wielkiej Brytanii. W tym też czasie ukazuje się wydany przez Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" „Śpiewnik kościelny" w opracowaniu ks. Krzyżanowskiego, przeznaczony głównie dla młodzieży.

W roku 1950 na życzenie swego biskupa płockiego udaje się ks. Krzyżanowski do Rzymu na studia teologiczne w Papieskim Uniwersytecie Angelicum, które kończy ze stopniem licencjata św. teologii. Po złożeniu wstępnych egzaminów do doktoratu i rozpoczęcia pisania tezy na temat kultu Eucharystii u św. Tomasza z Akwinu, zostaje jednak w roku 1955 odwołany z powrotem do Wielkiej Brytanii, gdzie po wyjeździe ks. kanonika St. Bełcha i ks. prałata Wł. Cieńskiego zawakowały stanowiska asystenta generalnego Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej i Polskiego Katolickiego Stowarzyszenia Uniwersyteckiego „Veritas". Obejmuje je ks. mgr Krzyżanowski oraz podejmuje obowiązki kapelana akademickiego wraz z opieką nad Katolickim Stowarzyszeniem Młodzieży Akademickiej „Iuventus Christiana". Pełni przy tym funkcje duszpasterskie przy parafii dla Polaków w centrum Londynu (Brompton Oratory) i w Hospicjum św. Stanisława. Nie zapomina nigdy o swych umiłowaniach pedagogicznych i całe soboty spędza w szkole sobotniej na Fulham, gdzie uczy religii i przygotowuje dzieci do przeżytej po polsku pierwszej Spowiedzi i Komunii św.

Nie porzuca też swych zainteresowań muzycznych, bierze żywy udział w pracy chórów polskich i jest członkiem zarządu ich

Związku. Opracowuje nadal pieśni, pisząc do nich słowa i muzykę. Obecnie przygotował do druku drugie ulepszone wydanie swego śpiewnika. Jest też czynnym członkiem zarządu Związku b. Więźniów Obozów Koncentracyjnych.

Głębokie powołanie kapłańskie oraz wielkie zalety serca i umysłu, umiłowanie człowieka a przede wszystkim dzieci i młodzieży, a przy tym wrodzone uzdolnienia duszpasterskie, pedagogiczne, artystyczne i społeczne sprawiają, że młody i pełen sił Ksiądz Kazimierz cieszy się powszechnym uznaniem i miłością starszych i młodszych wśród nas.

Toteż w uroczystość jego srebrnych godów kapłańskich, płyną w jego intencji modlitwy, aby Bóg darzył go i nadal wieloma łaskami, potrzebnymi w spełnianiu tylu ważnych obowiązków oraz z głębi serca pochodzące życzenia, aby mógł osiągnąć swoje zamierzone cele i jak najdłużej pracować wśród nas, dla nas i z nami. Ad multos, plurimos annos!

Do tych życzeń dołącza się całym sercem Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas", który w osobie ks. mgr. K. Krzyżanowskiego posiada wypróbowanego przyjaciela i cennego współpracownika.

Jak już wspomnieliśmy w ostatnim numerze, skromna uroczystość jubileuszowa odbywa się 30 czerwca w Brompton Oratory, gdzie o godz. 13 Ks. Jubilat celebruje uroczyste nabożeństwo, w czasie którego jego współdiecezjanin, ks. infułat B. Michalski wygłosi kazanie.

Po nabożeństwie grono przyjaciół i przedstawicieli organizacyj katolickich podejmuje ks. Krzyżanowskiego obiadem w klubie Stowarzyszenia Marynarki Wojennej.

W MARIAŃSKIM RAPPERSWILU

Z wielkim wstydem przyznaję się, że po raz pierwszy byłem z pielgrzymką w Zielone Święta na Fawley'owskich Bielanach. A teraz żal mi tych, którzy tam jeszcze nie byli i nawet nie wiedzą, czego się lekkomyślnie pozbawiają. Towarzystwo Przyjaciół Fawley Courtu powinno po prostu stale zawozić tam ludzi, a na kilka miesięcy przed Zielonymi Świątkami zacząć taką kampanię, żeby się aż ks. superior Jarzębowski zaniepokoił, gdzie się też tyle ludzi pomieści.

Jak na pierwszy raz, trafiłem szczególnie dobrze, bo w tym roku przybyło z Londynu i okolic nawet dalszych znacznie więcej osób niż w latach poprzednich. Pielgrzymi wysypywali się ze stu prawie autokarów i z ponad 750 chyba wozów prywatnych, szli od dworca, wypełnili ogromny park i gmach ozdobiony flagami papieską, polską i węgierską. Bo w tym roku przybyło z Londynu półtora setki braci Węgrów z dwoma księżmi na czele, przywożąc swą flagę ozdobioną obrazem Matki Boskiej Jasnogórskiej i napisem: „Królowo Polski i Węgier, przywróć wolność Polsce i Węgrom!" Śpiewali swe pieśni podczas nabożeństwa, a potem hymn „Boże, coś Polskę" po węgiersku. A na pamiątkę swego pobytu zostawili mały dąb, który został zasadzony w parku zakładowym.

Ale to stało się dopiero na zakończenie tego pięknego dnia. Węgrzy, po serdecznym powitaniu ich przez Ks. Superiora, przeszli pod ołtarz polowy ustawiony przed gmachem i zajęli miejsca po lewej jego stronie.

Nie mógł niestety przybyć i poświęcić zakładu J. E. ks. arcybiskup J. Gawlina i tylko przesłał list, odczytany przez Ks. Superiora. Jak się dowiaduję, Ks. Arcybiskup przybędzie na poświęcenie w dniu 14 lipca bież. roku.

Mszę św. celebrował z asystą węgierski jezuita, o. Vetkerti, który od ołtarza gorąco przemówił po węgiersku, podnosząc mocną wiarę w obu naszych narodach, ich cześć dla Matki Bożej i tradycyjne braterstwo. Do Mszy św. asystowali dwaj księża marianie z Ameryki: znany nam tak dobrze ks. dr J. Chruściechowski, jeden ze świeckich założycieli PKSU „Veritas", oraz ks. A. Bratkowski, Amerykanin polskiego pochodzenia. Kazanie o Zesłaniu Ducha Świętego wygłosił ks. prałat R. E. Gogoliński, który też odczytał specjalny list do pielgrzymów i do młodzieży, przesłany z Rzymu przez Ks. Kardynała Prymasa Polski. Bardzo wiele osób przystąpiło do Stołu Pańskiego.

Po nabożeństwie rozwinęła się długa i barwna procesja, w czasie której Węgrzy i Polacy odmawiali na zmianę dziesiątki Różańca. Zakończyło procesję błogosławieństwo Najśw. Sakramentem. W procesji uderzała znaczna ilość dzieci polskich i węgierskich. W czasie procesji rozwiały się dotychczas groźne i często kropiące deszczem chmury i wyjrzało słońce.

Po zakończeniu części religijnej pielgrzymi pokrzepiali się, oglądali bibliotekę i zbiory w tym angielskim „Rapperswilu", zwiedzali szkołę i urządzenia internatu oraz korzystali z licznych i pomysłowych rozrywek festynowych w parku.

Dużym powodzeniem cieszyło się stoisko z dewocjonaliami i literaturą dotyczącą kultu Miłosierdzia Bożego, przy którym bracia marianie z Herefordu udzielali informacji. Przy stoiskach książkowych „Veritasu" i Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej widać było wielu nabywających lub choćby oglądających licznie i barwnie wyłożone wydawnictwa wszelkiego rodzaju i dla wszelkiego wieku czytelnika.

Pięknym uwieńczeniem tego Maryjnego zjazdu był popołudniowy koncert pieśni Maryjnej, w którym wzięły udział chóry: miejscowy uczniów Kolegium Bożego Miłosierdzia oraz im. F. Chopina z Londynu, oba pod dyr. Z. Gedla, jak również chór im. Szymanowskiego pod dyr. H. Hosowicza. Na wolnym powietrzu można było podziwiać doskonałe przygotowanie śpiewaków i ich mocne, piękne głosy, toteż reakcja wdzięcznej publiczności była bardzo żywa. Najlepszym chyba dowodem, czym jest szkoła mariańska dla polskiej młodzieży, były deklamacje solowe i zbiorowa uczniów młodszych z zakładu w Hereford, znakomicie przygotowanych przez p. Orłowską. Nic dziwnego, że jakaś stojąca obok mnie matka z podziwem zawołała na głos: „To są naprawdę polskie dzieci, one wymawiają „ł" i nie mówią „Pouska!"

Miała rację. W tych szkołach kultywuje się autentyczną, opartą na wielkich tradycjach chrześcijańskich polskość i ci co tam jadą, mogą się nią i po polsku dowoli nacieszyć przy każdej okazji, a także i w modlitwie. A to wszystko dzięki ks. superiorowi Jarzębowskiemu, któremu Bóg daje tak wspaniałych księży pomocników oraz czas na wszystko, a któremu bracia rodacy wciąż jeszcze nie dają dosyć pieniędzy na te wszystkie cuda.

J. Czaharski

OBRAZY TADEUSZA SPRUSIAKA W LONDYNIE

W dniach od 20 czerwca do 9 lipca br. można zwiedzać w gmachu polskiej YMCA w Londynie, 46-47 Kensington Gardens Square, Bayswater, W.2. wystawę obrazów prof. Tadeusza Sprusiaka, artysty malarza z Polski.

Twórczość artystyczna Sprusiaka znana była jeszcze przed wojną.

Jego dorobek powojenny jest bardzo bogaty i godny obejrzenia.

Prof. Sprusiak w ostatnich latach wykładał w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych i na Politechnice w Łodzi. Do Londynu przyjechał tylko na okres swojej wystawy.

Wystawa jest otwarta codziennie od godz. 12 do 7.30 wiecz. Wstęp bezpłatny.

WIECZÓR TWÓRCZOŚCI HERMINII NAGLEROWEJ

Herminia Naglerowa, której twórczości poświęcony był ostatni wieczór literacki Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, należy niewątpliwie do elity pisarskiej i to nie tylko na emigracji, ale także i w Kraju, gdzie książki jej cieszyły się dużą poczytnością już w latach niepodległości. Silną pozycję literacką zdobyła sobie już przed wojną, jej powieść „Krauzowie i inni" uznana za jedną z najwybitniejszych książek okresu dwudziestolecia niepodległości.

Pomimo przejścia przez łagry sowieckie i wbrew wszelkim przejściom wojennym i życiu poza Krajem, Naglerowa nie straciła nic ze swej dynamiki pisarskiej i obdarzyła nas wydrukowaną już po wojnie powieścią wielkiej wartości i szerokiego pisarskiego oddechu: „Sprawa Józefa Mosta". Ostatnio wyszedł w Londynie przedruk jej książki przedwojennej „Zawalidroga", powieści, która nic nie straciła ze swej aktualności mimo upływu lat; porusza ona problem rozwodów, może bardziej jeszcze żywotny dziś, niż był dawniej.

Organizatorzy wieczoru i prelegenci starali się dać słuchaczowi jak najdalej idący wgląd w twórczość wybitnej pisarki. Omawiano kolejno jej ważniejsze pozycje książkowe. O „Zawalidrodze" mówiła Maria Danilewiczowa, o „Krauzach" — Tadeusz Sułkowski, o „Sprawie Józefa Mosta" — Józef Jaksiński. Omówienia te, poprzedzone słowem wstępnym Tymona Terleckiego, rzuciły wiele ciekawego światła na pracę pisarską Naglerowej, przybliżając słuchaczom i samą osobę autorki i jej osiągnięcia. Autorka zresztą zabrała sama głos na zakończenie wieczoru mówiąc pięknie o kraju swoich lat dziecinnych, o krajobrazie młodości, z którym pisarz zerwać nie potrafi bo to on właśnie zasila go swoimi życiodajnymi sokami przez wszystkie lata... Fragmenty z trzech wymienionych książek odczytała Tola Korian, co było jeszcze jedną przyjemnością tego udanego ze wszech miar wieczoru.

S. L.

WYSTAWA HALIMY NAŁĘCZ

Wilnianka, Halima Nałęcz należy do tych artystów polskich, którzy na emigracji zdobyli nazwisko i coraz bardziej zaznaczają swą obecność w międzynarodowym ruchu malarskim. Od roku 1949 pani Nałęcz posiada studio w Londynie a od roku 1956 galerię The New Vision Gallery, którą założyła łącznie z Frankiem Avray Wilsonem i Denisem Bowenem. W tej to galerii obecnie wystawiła 26 obrazów abstrakcyjnych i 5 rysunków i to dzieł będących zupełną nowością w jej sztuce, poprzednie bowiem obrazy jej, choć również abstrakcyjne, posiadały cechy bardziej geometryczne, których prawie nie ma w nich obecnie.

Halima Nałęcz wystawiała dotychczas w następujących galeriach: Walkera w Londynie, gdzie w 1956 miała wystawę zbiorową

PUNKTY WIDZENIA

O NASZEJ PRAWDZIE

W ogłaszanej corocznie statystyce katolicy angielscy podają m in. również ogólną liczbę nawróceń na katolicyzm, nie zaznaczając zresztą, z jakich wyznań pochodzą nawróceni. W tym roku opublikowanie tej cyfry, która od dłuższego czasu waha się między 11 a 13 tysiącami, wywołało całkiem niespodziewaną reakcję w kołach anglikańskich. Odezwało się kolejno kilku biskupów, a wśród nich również ich prymas, dr Fisher, arcybiskup Canterbury. Zarzucili oni wszyscy katolikom, iż „toczą wojnę z Kościołem anglikańskim", prowadząc wytężoną akcję przeciągania anglikanów do Kościoła katolickiego i że przy tym publikują jednostronne cyfry podające ilość owych konwersji, nie wspominają jednak ani słowa o katolikach, którzy przechodzą na anglikanizm. Ilość ich została nawet określona jako wielokrotnie wyższa niż publikowane przez katolików cyfry konwersji.

Te zarzuty znalazły swe echo w świeckiej prasie codziennej i, rzecz dziwna, spotkały się tu raczej ze zdziwieniem. Zdrowy rozsądek angielski przejawił się na ogół w tym, iż uznano, że każde wyznanie chrześcijańskie ma raczej obowiązek akcji misyjnej, nawet wewnętrznej, i że nie można mu z tego powodu robić zarzutów. Obok wolności prowadzenia pracy misyjnej podkreślono też wolność wybierania przez każdego tego wyznania, które mu najbardziej odpowiada.

Katolicka prasa starała się braciom anglikanom wytłumaczyć, na czym polega skuteczność pracy misyjnej Kościoła katolickiego, a jezuita o. W. Digby, w kazaniu wygłoszonym w kościele przy Farm St. w Londynie, zajął się nieco szerzej owymi stawianymi katolikom „zarzutami". Przypomniał on, że Kościół ma wyraźny nakaz głoszenia Ewangelii, a łaska powrotu do łączności z Kościołem, jako Ciałem Mistycznym Zbawiciela, nigdy nie jest ludzką zasługą, ale zawsze darem Bożym. Jeśli zaś zastanawiająco wysokie cyfry katolików przechodzących rzekomo na anglikanizm są prawdziwe, nie powinny one być powodem zmartwienia dla anglikańskich dostojników, chyba że zdają oni sobie sprawę z jakościowej różnicy, jaka istnieje między motywami przejścia na anglikanizm a powodem konwersji na katolicyzm.

Zasadniczą odpowiedź na zagadnienia poruszone w tej wymianie zdań dał arcybiskup Westminsteru ks. W. Godfrey w swym liście pasterskim, wydanym na niedzielę Trójcy Przenajświętszej.

Wychodząc ze słów wziętych z Ewangelii na to święto, a mówiąc o posłaniu przez Zbawiciela apostołów do wszystkich narodów z Jego nauką, zajmuje się Ks. Arcybiskup zagadnieniem samej prawdy, która jest przedmiotem naszej Wiary. Sprawa stosunku do tej właśnie prawdy stanowi dziś zasadniczy temat wielu dyskusji religijnych i zawziętych sporów, toteż chodzi o to, aby zrozumieć, jaka jest rola Kościoła i aby się nie spodziewać po nim stanowiska, którego zająć nie może i nigdy nie zajmie. Jednym słowem, chodzi o to, aby zrozumieć czym Kościół katolicki jest, a czym być nie może.

Pośpiech i zgiełk współczesnego życia — stwierdza ks. arcybiskup Godfrey — nie mogą zagłuszyć pytania, jakie stale jawi się w umyśle ludzi: czym jest prawda? Słyszymy dziś więcej o technologii, produkcji, eksporcie i imporcie niż o wiedzy, roztropności, sprawiedliwości i prawdzie, a przecież to one wskazują nam podstawowe cele naszego istnienia. Na temat istnienia Boga i życia pozagrobowego zabiera głos wielu ludzi, świetnych skądinąd specjalistów, ale nie znających podstaw ani teologii, ani filozofii, ani Pisma Św. Odpowiedzi na pytania dotyczące Boga i przyszłego życia nie mogą zależeć od czyichś poglądów. Czasy obecne odznaczają się tym, że o religii wypowiada się rozmaite przypuszczenia, podczas gdy jest ona przedmiotem, gałęzią wiedzy, której wielu ludzi poświęca długie lata badań. Kiedyś teologię uważano za królowę nauk, a filozofię za jej służebnicę i to pozostało słuszne do dziś.

Wiemy z lektury Pisma Świętego, że Bóg objawił nam swą prawdę i że Syn Boży założył społeczność, która uczy nas tego Boskiego objawienia i nam je objaśnia (interpretuje). Ta społeczność, czyli Kościół katolicki, ma obowiązek nieść tę naukę **wszystkim** i spełniania przezeń tego obowiązku nie można uważać za atak wymierzony w inne społeczności religijne. Konwersja to sprawa między Stwórcą a stworzeniem, to rzecz indywidualnego przekonania człowieka, gdzie jest prawda i pójścia za nią.

Wielu uważa, że katolicy żyją w niewoli dogmatów i że to one są hamulcami na kołach tak zwanego postępu myśli. Prawda objawiona jest ustalona w Kościele i nie podlega ona ruchom ani wstecznym, ani postępowym, ale Kościół ją ustawicznie interpretuje i przemawia tak żywo i aktualnie, jak to czynił Chrystus gdy żył między nami. Jednostka ma wolność wyboru drogi, którą wskazuje sam Bóg. Ale ludzie skupiają się w świątyniach, aby uczcić Boga nie tylko indywidualnie, lecz także zbiorowo, jako społeczności i jako całe narody, dając w ten sposób świadectwo wspólnej wierze. Męczennicy woleli dać życie niż przez ustępstwo dać pozór, że przyjmują to, czego za prawdę nie uważali. My zaś, choćby nas miano pomówić o nietolerancję, mamy twardo stać przy naszej prawdzie.

Idea wielości Kościołów, z których każdy miałby być założony przez Chrystusa, jest zupełnie obca katolickiej myśli. Podobieństwa zewnętrznych form, terminologii i instytucyj nie stanowią o jedności z nami, ale mogą one świadczyć o wewnętrznej potrzebie zbliżenia do katolicyzmu. Nie można jednak frymarczyć prawdą, trudno sobie bowiem wyobrazić, aby Zbawiciel nasz mógł się zgodzić na podział swego jednego prawdziwego Kościoła i na szerzenie sprzecznych ze sobą nauk n. p. o Jego Boskości. Nie byłoby to nauczaniem wszystkich narodów tego, co On objawił, ale wprowadzaniem pomieszania pojęć, a więc złym wykonywaniem nakazu Chrystusowego — kończy list pasterski.

J. Cz.

tzw. „one-man show", potem widzieliśmy jej obrazy w kilku innych galeriach na terenie Anglii, następnie w Galerie Creuze w Paryżu, w La Nostra Interplanetaria w Rzymie oraz w Hiszpanii i Belgii.

Obecna wystawa pokazuje większe niż dawniej włączenie się artystki w nurt prądów reprezentowanych obecnie przez malarstwo francuskie i angielskie, jej cechy osobiste, jak poetyckość podania, subtelność, duża elegancja, czułość na barwę, a specjalnie jeśli chodzi o jasne zestawienia kolorystyczne, są tu mniej uchwytne niż w poprzednich okresach tego stale rozwijającego się talentu. Ale strona techniczna jej twórczości zyskała i zdobyła uznanie znawców sztuki, co widać choćby po licznych czerwonych naklejkach na ramach obrazów, nieomylnego znaku ich zakupienia. Jedno pozostało nie zmienione, nie przygaszone, to radość, którą obrazy polskiej artystki promieniują. Odbija ona w sposób wyraźny od pesymizmu wielu innych artystów, pesymizmu, który tak uderza w licznych dziełach dzisiejszej sztuki europejskiej. Przełamuje go swym polskim temperamentem radosna, witalna Halima Nałęcz.

Galeria New Vision jest tak dobrze położona w centralnej części Londynu, że stosunkowo łatwiej mogą ją odwiedzać Polacy zamieszkujący zwartą masą pobliskie dzielnice. Nie chodzi może nawet o to, by Polacy kupowali bo poza lekarzami i właścicielami przedsiębiorstw, nie wielu z nas może pozwolić sobie na nabywanie dzieł sztuki, ale warto zobaczyć, jak wygląda dobra, współczesna sztuka europejska w aspekcie, który daje nam Polka.

Oprócz obrazów zbiorowej wystawy Halimy Nałęcz, widzimy tu cztery bardzo ciekawe kolorystycznie prace abstrakcyjne profesora Tadeusza Sprusiaka z Łodzi i dwie rzeźby Peter Clougha.

S. L.

POLSKA PRZYSTAŃ WODNA W HENLEY NAD TAMIZĄ

Staraniem sekcji sportów wodnych londyńskiego koła Stowarzyszenia Lotników Polskich wybudowana została polska przystań na gruntach Fawley Court, na których mieści się polskie gimnazjum dla chłopców, prowadzone przez księży marianów. Przystań znajduje się na trasie, na której odbywają się sławne od wielu lat zawody wioślarskie.

W niedzielę dnia 30 czerwca będzie odprawiona w kaplicy księży marianów uroczysta Msza św. o godz. 12, po czym nastąpi uroczystość otwarcia przystani.

Sekcja sportów wodnych S. L. P. zaprasza społeczeństwo do wzięcia udziału w uroczystości, w czasie której przewidziane są atrakcje rozrywkowe.

Dojazd koleją z Paddington lub Ealing do Henley on Thames, ze stacji 15 minut drogi lub taksówką (1 szyl.), albo autobusem z Kensington High Street lub Victoria.

ZMIANA ADRESU

Jednocześnie z zawiadomieniem o zmianie adresu, prosimy o wpłatę 1/- szyl., tytułem kosztów administracyjnych.

Administracja



KARDYNAŁ WYSZYŃSKI ma zawsze serdeczne słowo i dobrotliwy uśmiech dla spotkanych dzieci. Chłopiec rzymski, którego widzimy na zdjęciu, nie prędko zapomni, że Prymas Polski dał mu święty obrazek i że rozmawiał z nim jak dobry ojciec i i że jak kochający ojciec pogłaskał mu głowę. Obok Prymasa stoi rozradowany tą sceną KS. ARCYBISKUP BARANIAK.

W BIEŻĄCYM NUMERZE:

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

ROK XI — NR 26(523) LONDYN, NIEDZIELA, 30 CZERWCA 1957

CZY MIAŁ RACJĘ STARY OXIENSTIERNA?

Napisał LEON KOWNACKI

„Nescis mi fili, quantula prudentia mundus regatur?" — „Czy nie wiesz, synu, jak małą mądrością jest świat rządzony?" — pytał niegdyś kanclerz Oxienstierna, wyprawiając swego syna w podróż po Europie. Wydaje się czasem że teraz dopiero, w epoce atomowej, gdy postęp techniczny idzie milowymi krokami, a przemiany społeczne przybrały tempo, jakiego nie znała dotąd historia ludzkości, słowa starego kanclerza stały się bardziej niż kiedykolwiek prawdziwe.

Wystarczy kilka przykładów, aby uzmysłowić sobie, jak wiele sprzeczności, krótkowidztwa, złudzeń, ignorancji, bądź świadomego kłamstwa tkwi w polityce wielkich tego świata.

Zatrzymajmy się na chwilę na głośnym występie Chruszczowa w telewizji amerykańskiej. „Uważamy społeczeństwo kapitalistyczne za społeczeństwo niewolnicze — oświadczył on; — sądzimy, że narody żyjące w systemie kapitalistycznym, żyją w kapitalistycznym niewolnictwie." Chruszczow zaczerpnął to oświadczenie z „Kapitału" Marksa, wydanego w roku 1867. Od tego czasu upłynęło 90 lat, czego Chruszczow nie zauważył. Co się stało w tym czasie?

Rewolucja komunistyczna w Związku Sowieckim oddała teoretycznie wszystko w ręce narodu — ziemię, fabryki, składy, środki komunikacji. Wszystko to służy, również teoretycznie, potrzebom całego społeczeństwa. Co jednak w istocie rzeczy zyskało społeczeństwo na tym przeniesieniu tytułów własności? Rezultatem były brak przedmiotów pierwszej potrzeby, głód mieszkaniowy, rosnące podatki, przymus nabywania obligacji pożyczek państwowych, które się w końcu okazały bezwartościowe i wreszcie — pasożytniczy rozrost biurokracji. O kierunku i rozmiarach produkcji w Związku Sowieckim nie decyduje społeczeństwo, lecz klika rządząca.

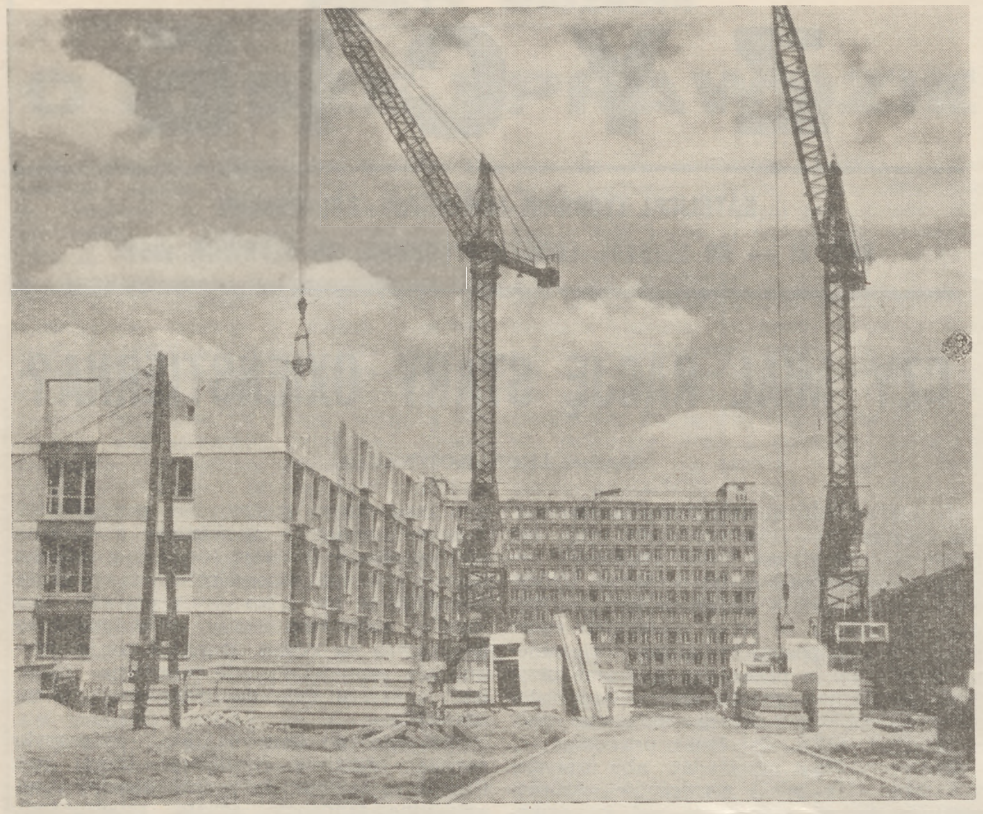
Innymi drogami poszedł rozwój kapitalistyczny Stanów Zjednoczonych. O kierunku i rodzajach produkcji rozstrzygają tam potrzeby społeczne, produkcja nie odpowiadająca tym potrzebom skazana jest na bankructwo. Robotnicy są w wielu wypadkach udziałowcami fabryk, w których pracują i w ten sposób uczestniczą w ich zyskach. Na przykład spośród 27 tysięcy robotników spółki Esso Standard Oil 20 tysięcy jest w posiadaniu akcji pokrewnego przedsiębiorstwa New Jersey Standard Oil. Przeciętny udział robotnika wynosi 95 akcji, dochód roczny z tego tytułu — 200 dolarów. Podobny system istnieje w wielu innych wielkich koncernach, których zarządy ułatwiają robotnikom nabywanie swych akcji. Osiem i pół miliona robotników w Stanach Zjednoczonych — w tym dwie trzecie z dochodem poniżej 7.500 dolarów rocznie — uczestniczą w zyskach przedsiębiorstw, w których pracują. Wysoko płatny robotnik amerykański ma możność zaspakajania nie tylko swych potrzeb, lecz również nabywania rzeczy, gdzie indziej, uchodzących za luksus. Robotnik ten na pewno nie zamieniłby „niewolniczego systemu", w którym żyje, na „postępowy" system sowiecki.

Społeczeństwo amerykańskie wytworzyło swoistą, plebejską cywilizację, której jest obcy ostro zarysowany podział klasowy i rewolucyjne tendencje świata robotniczego. Paradoksalnie, kapitalistyczny system Stanów Zjednoczonych jest o wiele bliższy marksowskiego ideału obfitości dóbr w bezklasowym społeczeństwie niż system sowiecki. Ponadto, robotnik amerykański korzysta z zakresu wolności osobistej, jakiego nie znały dotychczasowe ustroje społeczne. Czy to jest niewolnictwo? Chruszczow stanowi typowy przykład politycznego ignoranta.

W tym samym wywiadzie telewizyjnym Chruszczow oświadczył, że Związek Sowiecki byłby gotów wycofać swe wojska z Europy wschodniej pod warunkiem, że Amerykanie i Brytyjczycy uczynią to samo w Europie zachodniej. Nie wiązał on nawet tej oferty z domaganiem się likwidacji baz amerykańskich w całym świecie, jak to czyniły poprzednie propozycje sowieckie. Niemniej Eisenhower uznał ofertę Chruszczowa za niepoważny bluff propagandowy, a Walter Lipmann pisze, że pierwszemu sekretarzowi partii nie śniłoby się nawet wysunięcie tej propozycji, gdyby sądził, że istnieją najmniejsze szanse jej przyjęcia.

Jeżeli jednak oferta Chruszczowa była bluffem, co by mogło szkodzić odkrycie tego bluffu przez wszczęcie w tej sprawie rokowań? Przypieczętowałoby ono jedynie hipokryzję sowiecką. Wydaje się, że niechęć Zachodu do rozmawiania na ten temat ma raczej źródło w obawie, że propozycja Moskwy może być poważna. Cóż by się wówczas stało? Wojska sowieckie— mówią dyplomaci zachodni — wycofałyby się o kilkaset kilometrów na wschód, wojska amerykańskie odeszłyby za ocean. Europa zachodnia pozostałaby na łasce Moskwy.

Jest to niewątpliwie słuszne, lecz przecież garnizony amerykańskie nie będą stały w Europie przez okres całych pokoleń. Wielka Brytania już redukuje swe wojska nad Renem, hasło „bring our boys home" będzie nabierało siły w Stanach Zjednoczonych. Do tego samego muszą doprowadzić w końcu rokowania rozbrojeniowe. Jeżeli, zanim to nastąpi, dyplomacja zachodnia nie zdobędzie się na nową koncepcję europejskiego bezpie-



Nowe domy na Woli w Warszawie buduje się z elementów prefabrykowanych. Dźwigi na budowie podnoszą części belek i ścian, a robotnicy je tylko montują. Metoda ta skraca niezmiernie czas budowy

czeństwa, to, czego chce ona uniknąć, stanie się w końcu faktem. Lecz dyplomacja zachodnia obawia się nowych koncepcji, cofa się przed ryzykiem napiętnowania sowieckiego bluffu. Woli ona dojutrkowanie i rachuby na niewiadomą przyszłość. W rezultacie wygrywa Moskwa. Jest to krótkowidztwo i uleganie złudzeniom.

Innego rodzaju złudzenia tkwią w optymizmie, z którym się traktuje obecne rozmowy rozbrojeniowe. Źródłem tego optymizmu jest niewątpliwie fakt, że obie strony, a przede wszystkim sowiecka, chciałyby zmniejszyć ciężar wyścigu zbrojeń. Do tego trzeba dodać coraz powszechniejsze przeświadczenie o szaleństwie wojny wodorowej, torujące sobie drogę nawet wśród hierarchii sowieckiej. W Ameryce grają tu też motywy polityki osobistej Eisenhowera, który by chciał przejść do historii jako prezydent pokoju.

Na dalszą metę chodzi tu jednak też o co innego. Amerykanie wychodzą z założenia, że rozbrojenie pozbawi Kreml straszaka „imperialistycznej agresji", a przez to utrudni mu, jeżeli nie uniemożliwi, usprawiedliwienie obecnego policyjnego systemu. W warunkach międzynarodowego odprężenia ustrój sowiecki będzie zmierzał w kierunku stopniowej liberalizacji. W ten sposób problemy, obecnie nierozwiązalne, mogą kiedyś znaleźć automatyczne rozwiązanie.

Innego rodzaju idea przyświeca Moskwie. Rosjanie są zdania, że Ameryka zawdzięcza swą pomyślność gospodarczą zbrojeniom. Rozbrojenie, a nawet zwolnienie tempa zbrojeń odbije się na gospodarce amerykańskiej depresją, która sprawi, że Stany Zjednoczone przestaną dbać o Europę, Bliski Wschód i Azję, a zajmą się swoimi wewnętrznymi sprawami. Bariery, stojące przed ekspansją komunistyczną, rozpadną się wówczas jak mury Jerycha pod odgłosem trąb Jozuego.

Nie trzeba dowodzić, że jedna i druga strona ulega złudzeniom. Straszak agresji imperialistycznej odgrywa niewątpliwie dużą rolę w polityce Kremla, nie rozstrzyga on jednak wyłącznie. W braku groźby agresji zewnętrznej znajdzie się zawsze wróg klasowy, dążący do rozsadzenia państwa sowieckiego od wewnątrz. Czy zresztą sam fakt ograniczenia zbrojeń wystarczy, aby zmusić Moskwę do rezygnacji z systemu opresji? Świat kapitalistyczny, uzbrojony czy nie uzbrojony, pozostanie zawsze dla niej wrogiem, czyhającym na zgubę międzynarodowego komunizmu. Nie chodzi wszak o realność groźby, jest ona i obecnie całkowicie nierealna. Jej uzasadnieniem nie jest rzeczywistość, lecz doktrynalna fikcja.

Ta sama doktrynalna fikcja leży u podstaw poglądu sowieckiego na przyczyny amerykańskiej pomyślności gospodarczej. Według Marksa, gospodarstwa kapitalistyczne muszą podlegać okresowym kryzysom i ekonomiści komunistyczni wyczekują od lat z utęsknieniem nieuchronnego, ich zdaniem kryzysu gospodarki amerykańskiej. Już kilkakrotnie kryzys ten wydawał się bliski, lecz jakoś nie przyszedł. Współczesna gospodarka kapitalistyczna dysponuje środkami dla zapobiegania depresjom i ich odwracania, lecz dla ekonomistów sowieckich nic się nie zmieniło od czasu wielkiej depresji końca lat dwudziestych.

A nad tym wszystkim piętrzą się góry nie załatwionych problemów. Zakres porozumienia, które się mgliście rysuje, jest znikomy w zestawieniu z wielkim kręgiem nabrzmiałych konfliktów. Byłoby niesłuszne obciążanie za to winą kierowników polityki światowej. Ale czy są oni całkowicie bez winy?

Rzecznikem jednej strony jest człowiek, którego z trudnością można by nazwać półinteligentem, nie znający historii, nie rozumiejący współczesności. Rudymentarna znajomość podstaw komunistycznej doktryny zastępuje mu wiedzę o świecie. Po drugiej stronie jest człowiek schorowany, tęskniący przede wszystkim do golfa i swojej farmy w Gettysburgu. Los złożył w ręce tych ludzi możność wpływania na bieg historii. Czy nie miał racji stary Oxienstierna?

Leon Kownacki

ŻYCIE KRAJU

DRAŻLIWY POKAZ

W dniu 9 czerwca otwarto tegoroczne Międzynarodowe Targi Poznańskie, w których bierze udział 31 państw, wśród nich po raz pierwszy Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Między eksponatami wystawionymi przez Amerykę znajduje się domek jednorodzinny (bungalow) wyposażony we wszelkie nowoczesne urządzenia, jak lodówka, maszynki do obierania kartofli, do ubijania śmietanki, jak młynek do mielenia odpadków, kości i wszelkiego rodzaju obierzyn, które spływają do kanałów itp. Firma wystawiająca domek wyjasniła, że każdy robotnik amerykański może sobie taki domek kupić, jeśli ma ochotę. W twierdzeniu firmy nie ma żadnej przesady, o czym mógł się przekonać każdy, kto w ostatnich latach odwiedził Amerykę, nie wyłączając grupy architektów polskich, którzy w bież. roku objechali Stany Zjednoczone, by zapoznać się z budownictwem amerykańskim. O prawdziwości tych słów mogli także przekonać się naocznie dziennikarze pism komunistycznych, którzy pojechali do Stanów Zjednoczonych wyraźnie uprzedzeni i skłonni raczej los robotnika amerykańskiego widzieć w najciemniejszych barwach.

A jak ocenili domek aktywiści komunistyczni? O tym pisze „Życie Warszawy" z 2/3 czerwca bież. roku. Pismo powtarza artykuł opublikowany w „Gazecie Poznańskiej", organie wojewódzkim komitetu PZPR. Oto wyjątek z tegoż artykułu:

„Opinia publiczna w Poznaniu zaczyna ujmować sprawę amerykańskiego stoiska urządzeń gospodarstwa domowego na M. T. P. w sposób drażliwy. Wielu ludzi dopatruje się w tym chęci pokazania swojej wyższości, jak gdyby przechwalania się bogacza w stosunku do człowieka ciężkiej pracy, który znajduje się dopiero na początku drogi do dorobku. Nie jest to najbardziej szczęśliwy środek dla umacniania przyjaznych uczuć naszego ambitnego robotnika do Stanów Zjednoczonych."

Oto opinia pisma komunistycznego po październiku, świadcząca o niskim niestety jego poziomie i braku dobrego wychowania wobec wystawców, którzy w bieżącym roku po raz pierwszy byli w stanie pokazać w Poznaniu, jak żyje i mieszka robotnik na Zachodzie. Dla robotnika polskiego nigdy nie było to zresztą tajemnicą, że robotnik na Zachodzie posiada albo odpowiednio wygodne mieszkanie, albo domek, w którym instaluje wszelkie nowoczesne urządzenia mechaniczne, zmniejszające pracę w gospodarstwie domowym.



Poranek w Dolinie Kościeliskiej. Głos dzwonków pasących się tu owiec dźwięczy srebrzyście, przypominając śpiącym w schronisku turystom, że czas już iść z plecakami w Tatry.

Według „Gazety Poznańskiej", jest to przechwalanie się bogacza wobec człowieka ciężkiej pracy, który znajduje się dopiero na początku drogi.

W tym twierdzeniu jedno jest prawdą, a mianowicie, że robotnik polski jest człowiekiem ciężkiej pracy, ale tę ciężką pracę wykonuje on już od chwili, kiedy Kraj znalazł się w rękach planujących komunistów, tj. od przeszło dwunastu lat. Od tego czasu jest on wciąż jeszcze na początku drogi do dorobku i zamiast posiadać własne mieszkanie lub domek, ma swoją przestrzeń mieszkaniową, wciąż jeszcze wymierzaną przez miejską radę narodową na 7-10 metrów kwadratowych na osobę.

Jest to początek drogi do dorobku... Dobrze. A kiedy zacznie się w komunistycznej Polsce okres jakiego takiego dorobku? Kiedy za swoją ciężką pracę robotnik polski dorobi się własnego mieszkania lub domku, w którym nie będzie musiał dzielić kuchni z innymi jeszcze współlokatorami?

Tu należy przypomnieć, że gdyby nie zeszłoroczne wypadki poznańskie, to dziś już komitet wojewódzki byłby budował swój własny pałac biurowy, zamiast mieszkań dla robotników. Tylko dzięki znanym wypadkom plan został „odłożony".

Czechom wolno. „Gazeta Handlowa" z 31 maja br. podała na stronicy tytułowej dwie ilustracje przedstawiające stoisko czeskie. Na jednej z ilustracji widać kobietę wstawiającą różne artykuły do elektrycznej lodówki. A pod ilustracją czytamy:

„Robot kuchenny, który wałkuje ciasto, bije białka, prasuje owoce, obiera kartofle, miele mięso, kawę, mak i artykuły korzenne. Kombinowany mikser do bicia piany i kręcenia kawy; lodówki, odkurzacze szybko zagrzewające się naczynia elektryczne do gotowania, pralki i inne ułatwiające prowadzenie gospodarstwa domowego przedmioty zaprezentuje czeska ekspozycja na tegorocznych M.T.P. Na zdjęciu jeden z eksponatów — lodówka kuchenna. Wszystkie towary, które pokazują Czesi na M.T.P. służą ludności czechosłowackiej w codziennym życiu."

A więc bogacz czeski może pokazywać tu swoją wyższość, a więc jemu wolno przechwalać się wobec polskiego człowieka ciężkiej pracy, który w roku 1957 jest na początku drogi do dorobku i który istotnie nie posiada jeszcze nawet miejsca, gdzie mógłby ustawić lodówkę?

Takie dwie sprzeczności, takie dwie różne miary do wystawców na jednej i tej samej wystawie, to już chyba bardzo nieładnie.

W. O.

ŻYCIE KATOLICKIE

KILKA SZCZEGÓŁÓW Z POBYTU KS. PRYMASA

Inter Catholic Press Agency (IC) w numerze 25 za rok XII wydawnictwa, z 19 czerwca, podaje: fragmenty przemówienia ks. prymasa Wyszyńskiego do duchowieństwa na emigracji, wygłoszonego 20 maja w kościele św. Stanisława w Rzymie z okazji konferencji księży rektorów polskich misyj katolickich na emigracji; fragmenty przemówienia Ks. Prymasa w dniu 30 maja do kapituły swej bazyliki tytularnej Santa Maria in Trastevere i do licznie zebranych wiernych z okazji obejmowania przez Ks. Kardynała tejże bazyliki; opis historyczny bazyliki; wizyty arcybiskupa Baraniaka w domach salezjańskich w Turynie i Mediolanie; zakończenie i znaczenie wizyty Ks. Kardynała Prymasa w Rzymie.

◆

W przemówieniu w dniu 20 maja Ks. Kardynał mówił o znaczeniu jedności ze Stolicą Apostolską i o jedności wewnętrznej: Episkopatu i księży, pasterzy i ludu Bożego. Podkreślił, że w Polsce „kapłani przeszli przez wielkie doświadczenia i pokusy, uległa tylko nieznaczna gromadka słabych skądinąd ludzi, trzon drzewa kapłańskiego został nietknięty, duch pozostał mocny". Mówił o niezrozumieniu Kraju przez emigrację: „Tu na emigracji mówi się, pisze dużo o Kraju. Po wielu rozmowach tu przeprowadzonych, po przeczytaniu wielu gazet, pism, mogę powiedzieć, że nie jesteście w stanie zrozumieć naszej sytuacji w Kraju. My sami nie wszystko rozumiemy. Tego nie da się wytłumaczyć. Tam trzeba być i żyć. To trzeba przeżyc i to przeżyć wszystko: i więzienie i wolność." Ks. Kardynał stwierdził następnie: „My w Kraju modlimy się. Myśmy zrozumieli ogromną siłę i skuteczność modlitwy." Zaznaczył, że „w ubiegłym roku przez kilka miesięcy setki dzieci z przedszkoli pielgrzymowało do Częstochowy. Był to fakt poruszający do głębi. A modły tych dzieci wyciskały łzy z oczu".

W mocnych słowach Ks. Kardynał zwrócił się do zebranego duchowieństwa: „Mamy prawo wymagać wiele od was. Żyjecie bowiem u źródła jedności, czerpiecie u źródła najczystszej wody i ponosicie za to wielką odpowiedzialność... Żyjemy w trudach i w walce i potrzebujemy waszej pomocy i to nie tyle pomocy materialnej, ile przede wszystkim duchowej, moralnej. Bez pomocy materialnej możemy się obyć, zjemy czarny chleb, aby nie stracić jedności... Chcemy wrócić do Polski wzmocnieni, pragniemy wynieść przekonanie, że wy jesteście wzorem jedności, że w was jst duch mądrości i miłości. Chcemy na najbliższej konferencji Księży Biskupów oznajmić, że duchowieństwo polskie na wychodźstwie pracuje nad utrzymaniem jedności Narodu."

Zakończył Ks. Kardynał: „Nasza walka będzie jeszcze długa i ciężka, ale ufamy. Jak Niepokalana zwyciężyła, tak i my z Nią, naszą Królową, zwyciężymy."

◆

Podczas uroczystego objęcia swej bazyliki Ks. Kardynał mówił najpierw po włosku, a następnie po polsku. Po włosku powiedział m. in.: „Gdy będę daleko od Rzymu, w mojej Ojczyźnie, w znużeniu ogarniającym nieraz ciało i ducha, wśród nieuniknionych trosk mego odpowiedzialnego i ciężkiego urzędu, serce moje wybiegnie z miłością tu do was, pomiędzy arkady i mury tej wspaniałej świątyni Maryjnej i w ciszy niezamąconej duch mój odczuje z pewnością zgodny rytm waszych modlących się serc, a wsłuchany w cichy szmer słodkich wspomnień, zaczerpnie w nich światła i mocy. Do Ojca Świętego przede wszystkim unosi się myśl moja, wezbrana miłością i wdzięcznością za Jego delikatną, ojcowską dobroć, z jaką przyjął mnie w Wiecznym Mieście i pozwolił mi w gronie bliskich przeżyć wielką łaskę, proroczo zapowiedzianą przez Niego przed czterema laty, gdy pisał, że na pewno sam włoży mi Kapelusz Kardynalski na głowę — co się przed kilkunastu dniami spełniło — i za łaskawy dar, jakim mnie raczył zaszczycić, wyznaczając mi kościół tytularny u Panny Maryi Zatybrzańskiej, który przyjąłem z całą prostotą i pokorą serca."

Ks. Kardynał Prymas przemówił z kolei do rodaków: „Wracamy z miasta Rzymu do Polski, wzmocnieni na duchu, świadomi naszego posłannictwa i naszego zadania. Wypełnimy je wiernie przy Bożej pomocy wypełnimy je całkowicie." A do wszystkich Polaków zwrócił się z wezwaniem: „Polacy! Gdziekolwiek jesteście, czy w Rzymie, czy w rozproszeniu, w tylu krajach, czy w Ojczyźnie naszej, gdziekolwiek pracujecie, żyjecie, wszędzie zachowujcie to przekonanie, że siłą waszego ducha jest Kościół Boży, Kościół Chrystusowy i że przez wierność Kościołowi, Ewangelii, Krzyżowi i Stolicy Świętej jesteście wielcy, jesteście potężni."

POWRÓT KARDYNAŁA WYSZYŃSKIEGO

Z ostatnich dni pobytu ks. kardynała Wyszyńskiego w Rzymie zasługują jeszcze na podkreślenie niektóre fakty.

Ks. Kardynał udał się na Sycylię, by oddać hołd syrakuzańskiej Matce Boskiej Płaczącej, jako wypełnienie ślubowania, że uczyni to, jeśli położenie katolików w Polsce choć nieco się polepszy.

Jak wiadomo, od kilku lat rozwija się w Rzymie i w całym świecie Ruch o realizację Lepszego Świata. Duszą tego Ruchu jest głośny dzisiaj już wszędzie o. Riccardo Lombardi. W Rzymie w specjalnym domu Centro Pio XII odbywają się odpowiednie kursy. W czasie ostatniego kursu dla mężczyzn Akcji Katolickiej i zebrania ponad 160 młodzieńców pragnących pracować w tym ruchu, przybył ks. kardynał Wyszyński w otoczeniu arcybiskupów Baraniaka i Gawliny i biskupów Klepacza i Choromańskiego. Po powitalnym przemówieniu o. Lombardiego Ks. Kardynał podkreślił w odpowiedzi wierność Papieżowi i Kościołowi duchowieństwa i wiernych za żelazną kurtyną i wyraził życzenia, ażeby modlitwy i cierpienia tak wielkiej części Kościoła mogły uprosić obfite łaski dla wszystkich, którzy oczekują odnowienia ludzkości w Chrystusie.

We czwartek 13 czerwca o godzinie 11 Ojciec Święty przyjął na pożegnalnej audiencji Ks. Kardynała, następnie ks. arcybiskupa Baraniaka i księży biskupów Klepacza i Choromańskiego, przełożonych i wiernych, z którymi przybył ks. arcybiskup Gawlina. W końcu Ojciec Święty przyjął hołd alumnów Papieskiego Kolegium Polskiego z rektorem o. Semkowskim i Papieskiego Instytutu Kościelnego Polskiego z rektorem prałatem Strojnym.

W wigilię wyjazdu z Miasta Wiecznego Ks. Prymas odprawił w swej tytularnej bazylice Matki Boskiej Zatybrzańskiej Mszę św. i rozdał Komunię św. wiernym przyjmującym Ją w intencjach odjeżdżającego Księcia Kościoła. W dniu 17 czerwca Ks. Kardynał Prymas wraz z towarzyszącymi mu biskupami, żegnany przez setki dostojników kościelnych i wiernych, przeważnie Polaków, odjechał do Warszawy. Ze sekretariatu stanu Jego Świątobliwości był substytut Angelo Dell'Acqua z prałatem Luigi Poggi.

Zebrani odśpiewali kilka pieśni religijnych na cześć Najśw. Maryi Panny, a w chwili gdy pociąg o godz. 8.48 ruszył, oklaskali żywo odjeżdżających.

Zakończyła się prawie 40 dni trwająca wizyta, która bezsprzecznie jest czymś więcej niż zwykłą wizytą ad limina Apostolorum. Trzeba od razu zaznaczyć, jak to czyni „Inter Catholic Press Agency", że znaczenie tej wizyty „nie polega wcale na ewentualnych powiązaniach politycznych, które występują o wiele silniej w spekulacjach dziennikarzy niż w rzeczywistości. Podróż ta jest ważnym wydarzeniem przede wszystkim z czysto kościelnego punktu widzenia. Kościół nie jest tylko duchową nadprzyrodzoną instytucją, lecz również ludzką społecznością wiernych na całym świecie... Wizyta Prymasa Polski i delegacji Episkopatu w stolicy chrześcijaństwa... wzmocniła społeczną więź Kościoła ...Przez tę podróż Polska przypomniała światu swą obecność wśród narodów chrześcijańskich, a jest ważne zarówno dla Kościoła jak i narodu, by ta żywa obecność była zawsze utrzymana. Ks. Prymas ma być znowu w Rzymie jesienią tego roku. Jeśli obecna wizyta zapoczątkowała jakieś konkretne decyzje dotyczące organizacji. Kościoła w Polsce, to przypuszczalnie decyzje te będą sfinalizowane w czasie tej późniejszej wizyty Prymasa Polski w Rzymie."

◆

Pociąg wiozący Kardynała przyszedł do Warszawy z dużym opóźnieniem z powodu owacyjnych powitań na stacjach w Polsce. Na dworcu w Warszawie i na przyległych ulicach czekało około 10.000 ludzi. Kardynał przywiózł z sobą kopię obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, pobłogosławioną przez Ojca Świętego. Obraz odwieziono do katedry, dokąd towarzyszyły mu tłumy wiernych. Po przybyciu do katedry Ks. Prymas odprawił Mszę św. i przemówił krótko do zebranych w kościele tłumów.

»OSSERVATORE ROMANO«

Środa 5 czerwca: przemówienie Papieża (w języku angielskim) do przełożonych i alumnów Papieskiego Kolegium Szkockiego w Rzymie; zebranie św. Kongregacji Rytów (Preparatoria) w sprawie heroiczności cnót Sługi Bożego Galileo Nicolini, nowicjusza pasjonistów.

Czwartek 6 czerwca: przemówienie Papieża (w języku angielskim) do amerykańskich chirurgów należących do International College of Surgeons.

Piątek 7 czerwca: audiencja nowego posła Wielkiej Brytanii przy Stolicy Apostolskiej sir Marcus Cheke.

Sobota 8 czerwca: przemówienie Papieża (w języku włoskim) do uczestników narodowego zjazdu Chrześcijańskich Stowarzyszeń Robotników Włoskich (ACLI) obradującego nad „Automacją i światem pracy".

Niedziela 9 czerwca: artykuł o uroczystości Zesłania Ducha Świętego; artykuł „Trzechsetna rocznica męczeństwa św. Andrzeja Boboli".

POLACY W ŚWIECIE

W STOLICY AUSTRALII

Polacy znajdujący się obecnie w Australii przybyli tu przeważnie z obozów uchodźczych, bądź to z Niemiec, i tych chyba jest najwięcej, bądź też z Afryki Wschodniej, czy z Indii, gdzie wojenne osiedla uchodźcze uległy — po wojnie — likwidacji. W Tasmanii znalazła się po wojnie liczna grupa b. żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Środkowym Wschodzie, którzy chyba tkwią tam dotychczas. To oni właśnie prowadzili swego czasu ożywioną korespondencję z obozami uchodźczymi w Indiach i w Afryce szukając polskich żon dla siebie wśród naszych dziewcząt.

Rozległa Australia ziemi ma dość, więc przybyszów rozmieszczano na szerokiej przestrzeni, niektórych bardzo daleko od takich miast, jak Sydney, Melbourne, czy Canberra, w których można było jako tako się zorganizować, poprowadzić własne życie kulturalne, zabiegać o zachowanie odrębności narodowej. Być może, iż te zorganizowane ośrodki utrzymują łączność z Polakami rzuconymi dalej w głąb lądu i że mają wiadomości o tym jak ci ludzie żyją, jak się bronią przed pogrążeniem po uszy w egzotycznej obcości.

Otrzymaliśmy właśnie list z Canberry, w którym oprócz bardzo ciekawych danych o tamtejszym polskim życiu organizacyjnym jest też garść wiadomości o samej Canberze co należy raczej podkreślić, gdyż rzecz biorąc ogólnie Polacy w świecie pomijają przeważnie milczeniem tło swojej obecnej egzystencji. Dowiadujemy się tedy, że Canberra, stolica Australii, tonie w przepięknych ogrodach, że nie ma w niej żadnych fabryk, a jeśli i są jakieś warsztaty, to tak je poumieszczano, by nie psuły reprezentacyjnego wyglądu ulic i nie zakłócały powagi i spokoju tej siedziby australijskich instytucji naukowych i administracji państwowej.

Istotnie, tylko taki bogaty w przestrzeń kraj jak Australia mógł sobie tak dostojnie urządzić stolicę! Życie tu jednak wre, pomimo pozornego braku wszelkiego pędu. Miasto zdążyło powiększyć się dwukrotnie od czasu wojny. Na ogólną ilość mieszkańców (aż się nie chce wierzyć, że to tylko 30.000) jedną trzecią stanowią Nowo-Australijczycy, w czym jest około tysiąc Polaków. Dalsze pół tysiąca mieści się o 8 mil od Canberry, w miasteczku Queanbeyan, jest też duża ilość Polaków w Cooma i okolicy, przy budowie tam wodnych, znajduje się też ich sporo po okolicznych farmach.

Duszpasterz polski o. Karol Warzecha jest wiecznie w rozjazdach, a przestrzenie są ogromne, dociera jednak wszędzie ze słowem Bożym, ma nawet czas na pełną rozmachu pracę społeczną, odwiedza polskie szkoły, bywa na zebraniach, wygłasza odczyty w stowarzyszeniach australijskich i polskich.

Życie organizacyjne Polaków w Canberze skupia się w trzech organizacjach: Klubie Polskim, Kole SPK i klubie sportowym „Napad". Znajdujący się od trzech lat tutaj zarząd Oddziału SPK Australia bardzo dba o to, ażeby w każdym większym ośrodku polskim działało Koło SPK. W tej chwili Koło SPK w Canberze przystąpiło do realizacji budowy Domu Kombatanta, czyli Domu Polskiego, który ma kosztować 13.000 australijskich funtów. Połowę tej sumy



Prezes Koła SPK, M. Petelczyc, i prezes Klubu Polskiego, R. Wodziński, wręczają proporczyk Gromadzie Zuchów

pożyczył Zarząd Główny SPK w Londynie, 2.000 funtów uzbierano z dobrowolnego opodatkowania się po 10 funtów od pracującego mężczyzny, resztę ma przynieść „własna praca"; każdy Polak tamtejszy ma odrobić w tym celu 40 godzin na razie, a „jak nie starczy, to i więcej".

Najstarszą i największą organizacją w Canberze jest Klub Polski, który obchodził w 1956 roku pięciolecie swego istnienia, wydając z tej okazji na papierze fotograficznym Księgę Pamiątkową ilustrowaną licznymi zdjęciami. Do najcenniejszych osiągnięć Klubu należą przede wszystkim polskie szkoły sobotnie, całkowicie utrzymywane i prowadzone przez Klub Polski i Koło SPK. Klub płaci pensje nauczycielskie, zakupuje podręczniki dla uczniów, urządza wycieczki szkolne i „gwiazdki", a nawet kupuje co drugą sobotę owoce dla dzieci w szkołach. Prowadzi też bibliotekę, wyświetla polskie filmy, wydaje miesięczny biuletyn informacyjny, który jest rozsyłany do najbardziej nawet oddalonych od Canberry Polaków. Z tego widać, że nie są oni całkowicie pozostawieni obcym wpływom, że mają jednak pewien związek z polskością, co musi mieć bądź co bądź swoje znaczenie. Klub Polski pomaga także swym członkom (i nieczłonkom), których dotknęła jakaś bieda czy jakieś spotkało nieszczęście.

Aktywność to prawdziwie niewątpliwa i dobrze świadcząca o Polakach w stolicy Australii. Nic też dziwnego, że zmieniła się w Canberze opinia o Polsce i Polakach, że początkową niechęć zastąpił szacunek a także sympatia; Polacy mają mir w tamtejszych związkach zawodowych, głos ich już nieraz zaważył w wyborach do władz tych związków.

Najmłodszą organizacją w Canberze jest Związek Harcerstwa Polskiego, a raczej dwie gromady zuchów: męska (27 chłopców) i żeńska (18 dziewcząt). W listopadzie ubiegłego roku, w czasie uroczystości Chrystusa Króla, męska gromada „Orląt" była jedyną zwartą grupą maszerującą przez ulice miasta, co widzimy na zdjęciu. Wybitnie dzielne to gromady, choć niezbyt wielkie. Gdyby nie brak wykwalifikowanych sił harcerskich, można by założyć trzy gromady męskie i dwie żeńskie, bo dzieci polskich w Canberze jest stosunkowo dużo, np. w szkole katolickiej na O'Connor jedną trzecią wszystkich uczniów stanowią Polacy. Według ostatnich obliczeń jest 250 dzieci polskich w wieku szkolnym w Canberze, z czego do szkół sobotnich polskich chodzi jednak tylko 160 dzieci... Myśl o tych 90 pozostałych, nie posyłanych przez rodziców do szkoły polskiej, jest bodaj największym zmartwieniem Klubu Polskiego w Canberze.



NAUKA I TECHNIKA

TWARDSZY NIŻ DIAMENT

W klasyfikacji twardości materiałów — wedle powszechnie w mineralogii stosowanej skali Mohsa — najwyższe, dziesiąte miejsce zajmuje diament. Jest to bez wątpienia materiał najtwardszy. Diament można zarysować tylko diamentem, mówi przysłowie. Ta właśnie twardość powoduje, że diament znajduje szerokie zastosowanie przy krajaniu materiałów tak twardych, jak np. szkło, którego „żelazo się nie ima" i że narzędzia z ostrzami diamentowymi mają szerokie zastosowanie w przemyśle.

Ta twardość diamentu, fakt znany już od setek lat, znalazła istotne wyjaśnienie dopiero w niedawnych latach, gdy rozwój fizyki atomowej pozwolił nam zrozumieć, czym są siły wiążące poszczególne atomy w drobinie. Jak dziś to sobie wyobrażamy, siły te pochodzą głównie (choć nie wyłącznie) od elektronów zewnętrznej powłoki atomu w czasie, gdy dwa lub więcej atomów łączy się w drobinę. Każdy atom (poza atomami gazów szlachetnych), zależnie od budowy swej powłoki elektronowej, ma jeden lub więcej takich elektronów, którymi może się dzielić z innymi atomami. Cała niemal chemia polega na tym, w jaki sposób sąsiadujące ze sobą atomy dzielą te na wpół wolne elektrony pomiędzy sobą.

Węgiel (a diament jest najczystszym krystalicznym węglem) w swej zewnętrznej powłoce ma aż cztery elektrony do oddania. Tym samym może on wchodzić w związki z całym szeregiem innych atomów, i na tym właśnie polega jego tak wielka czynność (aktywność) chemiczna, która powoduje, że chemia organiczna, chemia wszystkich związków, jakie stanowią fizyczną podstawę życia na ziemi, jest chemią związków węgla.

Oczywiście węgiel może wchodzić w związki również i z innymi atomami węgla, tworząc kryształy czystego węgla. Takich kryształów węgla znamy dwa, grafit i diament. Zdawałoby się, że nie może być dwu ciał o bardziej od siebie odmiennych właściwościach. Diament twardy, grafit miękki; diament jeden z najgorszych przewodników elektryczności, stawiający napięciom elektrycznym opór bilion (milion milionów) razy większy, niż miedź, grafit — kiepski, bo kiepski, ale zawsze przewodnik elektryczności, którego opór jest zaledwo dwa tysiące razy większy niż miedzi, a ledwo 200 razy większy niż rtęci. Diament, kamień o przepięknym połysku, „ogniu", jak mówią jubilerzy, grafit zaś matowy, czarny. Jakoś zupełnie niepodobni są ci dwaj bracia, a przecież tak jeden, jak i drugi są czystym węglem w postaci krystalicznej.

Cała różnica między nimi zasadza się jedynie na budowie ich drobin. Podstawą drobiny grafitu jest sześciobok atomów węgla, znany nam z chemii organicznej z budowy pierścienia benzenu. W sześcioboku tym każdy atom węgla łączy się z atomami sąsiednimi w ten sposób, że dwa sąsiednie atomy wspólnie dzielą się między sobą swymi zewnętrznymi elektronami, tak jak gdyby cegiełki odartych z elektronów atomów (naładowane więc dodatnio) trzymały się ze sobą kitem naładowanych ujemnie elektronów. Te połączenia są bardzo mocne, siły bowiem elektryczne między odartymi z elektronów pozostałościami atomów a ich elektronami — wobec bardzo małych odległości — są ogromne, a miejsce elektronów wiążących tak ściśle określone, że potrzebne są bardzo duże siły, aby je rozerwać. A odległości między atomami są istotnie bardzo małe: w drobinie grafitu wynoszą one wszystkiego 1.42 A (A, Angstrom jest jednostką miary odległości w fizyce atomowej, wynoszącą jedną dziesięciomilionową część milimetra).

Te sześcioboki węgla w graficie są więc niezmiernie mocne i rozerwanie ich jest bardzo trudne. W graficie jednak taka cieniuteńka warstwa mocnych sześcioboków grafitu, grubości ułamka A, łączy się z następnymi podobnymi do niej warstwami, leżącymi pod nią i nad nią w odległości 3,35 A, i to przeważnie w taki sposób, że atomy jednej warstwy są przesunięte w stosunku do atomów warstw bezpośrednio przyległych. Siły wiążące te plasterki ze sobą są stosunkowo niewielkie tak, że przesunięcie jednego w stosunku do drugiego jest względnie łatwe: właśnie dlatego grafit jest miękki. Ponadto, do tworzenia swego pierścienia sześciobocznego każdy atom węgla używa w graficie tylko trzech ze swych czterech wolnych elektronów. Czwarty elektron jest więc związany z rdzeniami atomów bardziej luźno, niewielkie więc siły elektryczne wystarczają, aby te elektrony poruszyć z miejsca, powodując prąd elektryczny.

Tymczasem w diamencie każdy atom węgla łączy się z czterema innymi atomami, tworząc z nimi jak gdyby ostrosłup o podstawie czworobocznej. Te ostrosłupy łączą się swymi wolnymi wiązaniami z ostrosłupami następnymi, tworząc zwartą siatkę krystaliczną diamentu. W owej siatce każdy atom węgla łączy się z czterema innymi, wszystkie jego więc wolne elektrony stają się mocno związane, i silnie wiążące wszystkie atomy kryształu diamentu ze sobą. Siły tu występujące są tak potężne, że naruszenie tej siatki jest niezmiernie trudne, dzięki czemu diament jest bardzo twardy. Do tego, skoro wszystkie elektrony mocno siedzą na swych miejscach, przyłożone napięcie elektryczne nie ma wolnych atomów do poruszania i potrzebne by były dopiero olbrzymie napięcia, aby elektrony te wyrwać z ich pomieszczeń, a więc, aby spowodować prąd elektryczny.

Jak wynika z obliczeń, ze wszystkich dotąd znanych ciał owe połączenia atomów przy pomocy wiążących je ze sobą elektronów są w diamencie największe, nie dziw więc, że diament jest u szczytu skali twardości.

Ponieważ zarówno grafit, jak i diament, są związkami czystego węgla, od dawna więc błąkała się w umysłach ludzkich myśl, aby przekształcić grafit w diament, innymi słowy, aby wytworzyć sztuczne diamenty. Wszystkie jednak dotychczasowe próby, aż do ostatnich lat, zawiodły: w jakikolwiek sposób by nie krystalizowano węgla, zawsze otrzymywano kryształy grafitu, a nie diamentu. Wyjaśnienie tego zjawiska jest w świetle dzisiejszych naszych wiadomości jasne. Aby grafit przemienić w diament, trzeba z jednej strony zastosować temperatury tak wysokie, aby móc przezwyciężyć siły wiążące atomy węgla w pierścieniu grafitowym ze sobą, z drugiej zaś strony, trzeba zastosować olbrzymie ciśnienia, aby zmusić atomy węgla do zaniechania ich naturalnej tendencji do grupowania się w sześcioboki i skłonić je do przegrupowania się możliwie najciaśniej w stojącej do ich dyspozycji przestrzeni.

A są to ciśnienia nie lada. Jak wykazało obliczenie, grafit może przejść w diament dopiero przy ciśnieniach 40.000 atmosfer i temperaturze 1300° C. Stosując wyniki tych obliczeń w praktyce, amerykańska General Electric Company otrzymała w 1955 roku pierwsze, drobniuteńkie diamenty o średnicy niewiele ponad 1 milimetr, stosując przez kilka godzin ciśnienie rzędu 53.000 atmosfer. W rok później, w 1956 roku, ta sama firma, stosując temperatury 2.760° C. i ciśnienia 100 tysięcy atmosfer, zdołała otrzymać sztuczne diamenty wielkości jednej dziesiątej karatu, w czasie zaledwo kilkunastu minut. W ten sposób po raz pierwszy udało się człowiekowi naśladować procesy, jakie zachodzą w przyrodzie na głębokości 250 mil.

Ten sukces nie dał spać pracownikom General Electric. Czegoż by nie można dokonać, gdyby te tak olbrzymie ciśnienia zastosować i do innych materiałów? W jesieni zeszłego roku dr Wentorf, pracując nad budową azotku boru, stwierdził, że przypomina ona zupełnie budowę grafitu, gdyż podstawą jej są sześcioboki zupełnie podobne do sześcioboków węgla, które podobnie jak w graficie, tworzą cieniutkie plasterki sześcioboków łączące się z plasterkami sąsiednimi zupełnie tak samo, jak to dzieje się w graficie. Co więcej, odległości atomów w sześciobokach i wzajemne odległości warstw są tego samego rzędu, co i w graficie.

Gdyby więc tak poddać azotek boru wysokim ciśnieniom i zmusić jego atomy do przyjęcia postaci krystalograficznej diamentu? — pomyślał dr Wentorf. Istotnie, przy temperaturze 1500° C. i ciśnieniu ponad 70.000 atmosfer azotek boru przybrał nową postać krystaliczną zupełnie podobną do budowy diamentu, którą odkrywca nazwał borazonem. I — zgodnie z przewidywaniami — twardość tego nowego materiału okazała się bardzo duża, nieco nawet większa od diamentu. W ten sposób udało się sztucznie stworzyć materiał twardszy od diamentu, pierwszy minerał, który może zarysować diament.

Borazon jest barwy brudno szarej, nie może więc służyć do celów zdobniczych. Za to jednak jego duża twardość, a zwłaszcza wysoka odporność na ciepło (diament utlenia się w powietrzu w temperaturze 800° C., borazon natomiast wytrzymuje temperatury do 1800° C.) czynią go doskonałym materiałem dla bardzo twardych narzędzi do obróbki mechanicznej, i to narzędzi szybkotnących, skoro wytrzymuje on wysokie temperatury.

Coraz doskonalsza znajomość budowy materii i sił wiążących atomy ze sobą, jaką uzyskaliśmy dzięki postępom fizyki atomowej, pozwoliła technice nie tylko ulepszać materiały naturalne, ale i tworzyć materiały nowe, nie istniejące w przyrodzie, a lepiej odpowiadające potrzebom techniki niż materiały, jakie spotykamy w stanie naturalnym. Tak było z plastykami, tak z silikonami, tak wreszcie z borazonem, który jest pierwszym sztucznym produktem najnowszej techniki, stosującej bardzo wysokie ciśnienia, rzędu dziesiątek tysięcy atmosfer.

Tadeusz Felsztyn

ŻYCIE MIĘDZYNARODOWE

NIEMIECKIE CENTRUM BADAŃ SPRAW POLSKICH

W październiku ubiegłego roku odbyło się w Tubindze spotkanie polskich i niemieckich „historyków", poświęcone wzajemnej wymianie zdań na temat niedawnej przeszłości polsko-niemieckiej i mające na celu nawiązanie kontaktów pomiędzy Niemcami, interesującymi się programowo sprawami polskimi a emigracją polską, zainteresowaną problemem stosunków polsko - niemieckich. W wyniku spotkania tego pojawiły się na łamach licznych pism emigracyjnych barwne opisy uroczej Tubingi i mniej lub bardziej szczegółowe sprawozdania i uwagi o przebiegu wspólnych obrad. Zainteresowany środowiskiem niemieckim, poświęcającym tyle uwagi sprawom Polski wczorajszej i dzisiejszej, postanowiłem także, z okazji pobytu na południu Niemiec zawadzić o to miasto, szczycące się posiadaniem jednego z najstarszych uniwersytetów niemieckich i żyjące tradycją Hegla, Uhlanda i Hoelderlina.

Zaproszenie towarzystwa „Heimatdienst", organizacji społecznej (na obszar południowej Wirtembergii i kraju Hohenzollern) mającej na celu demokratyczne wychowanie współczesnego obywatela niemieckiego, dało mi możność zetknięcia się z gronem ludzi, specjalnie zajmujących się zadaniem niedawnej przeszłości i teraźniejszości Polski. Jednodniowy pobyt w tej pięknej mieścinie nadneckarowskiej i rozmowy, przeprowadzone z licznymi profesorami, przede wszystkim jednak z młodszą dwudziesto- i trzydziestoletnią generacją niemiecką, zainteresowaną aktywnie sprawami i przemianami obszaru wschodnio-europejskiego, nasunęły mi sporo spostrzeżeń i uwag, którymi pragnę się podzielić z Czytelnikami ŻYCIA.

Kroniki Trewiranu wspominają już w roku 1078 Tubingę jako fortecę Alemanow, „Tuingia castra Alemannorum". W r. 1251 — a więc ponad 700 lat temu — powstała Tubinga jako miasto, a 200 lat później stanął słynny uniwersytet, który w roku 1977 obchodzić będzie 500-lecie swego istnienia. Pochodzące z tego okresu klasztory, kościoły, ratusz i przepiękne domy patrycjuszowskie — po licznych oczywiście przebudowach i dobudowach — utrzymały się po dzień dzisiejszy. Tubinga jest jednym z tych nielicznych miast niemieckich, których pożoga wojenna prawie że nie dotknęła. Miasto posiada patynę wieków, żyje i oddycha przeszłością i teraźniejszością uniwersytetu. Liczy 50.000 mieszkańców, z czego 5.000 stanowią studenci. Oni to, razem z profesorami, nadają styl i ton życiu miasta. Nie brak Tubindze i tradycji polskich. Najlepsza kawiarnia na rynku, „Café Pfuderer", założona została 100 lat temu przez polskiego emigranta Kozłowskiego. Tutaj studiował — notuje kronika uniwersytecka — kapitan Jan Matuszyński, lekarz V pułku strzelców konnych w czasie powstania listopadowego, który — po upadku powstania — kontynuował studia w Tubindze i później działał w tym mieście jako lekarz. Tu wreszcie — już w nowszych czasach, w roku 1913, doktoryzował się u sławnego archeologa niemieckiego, profesora Schmidta, Leon Kozłowski, późniejszy premier Polski przedwojennej.

Swoistego rodzaju „tradycję polską" kontynuuje Instytut Historii Wschodnio-Europejskiej przy uniwersytecie w Tubindze, należący do najruchliwszych i najpoważniejszych niemieckich ośrodków badawczych Polski wczorajszej i dzisiejszej. Instytut posiada bogatą bibliotekę i archiwum dokumentacyjne, w oparciu o które dyrektor instytutu, prof. Markert wespół z kilkudziesięciu asystentami, doktorantami i starszymi studentami prowadzi prace badawcze nad najnowszym okresem stosunków polsko-niemieckich.



Rynek i ratusz w Tubindze

Od dłuższego czasu przygotowywana jest „Handbuch von Polen", obszerna praca zbiorowa, mająca zobrazować poszczególne dziedziny życia politycznego, gospodarczego, społecznego i kulturalnego od powstania niepodległego państwa polskiego w roku 1918 aż po dzień dzisiejszy. Książka ta ukazać się ma pod koniec bieżącego roku.

Niedawno wyszła spod prasy ciekawa dokumentacyjna książka współpracownika Instytutu dr. Roosa, poświęcona stosunkom polsko-niemieckim w latach 1931-1939. Książka ta — naświetlająca wyżej wymieniony okres z niemieckiego oczywiście punktu widzenia — pragnie w sposób objektywny i naukowy przedstawić bezpośrednio przedwojenny odcinek stosunków pomiędzy obu państwami. Autorem pracy jest — jak wspomniałem powyżej — młody uczony, życzliwie ustosunkowany do Polski, którego zainteresowania polskie datują się z okresu wojny, kiedy Roos, jako żołnierz niemiecki, dostał sie do niewoli Armii Krajowej na Wileńszczyźnie i w zetknięciu z naszym podziemiem odkrył jego nieznane jakoby dotychczas wielu Niemcom pierwiastki ideowe. Kilkuletni następnie pobyt w łagrze sowieckim pozwolił mu przeżycia i spostrzeżenia swoje gruntowniej przemyśleć. W tej atmosferze zrodziła się chęć i wola zgłębienia tajników narodu polskiego, tak nieugięcie walczącego w najbardziej beznadziejnych warunkach o wolność i wyzwolenie. Życzyć by sobie należało, by przedmiotem objektywnych — z właściwą tylko Niemcom przeprowadzanych gruntownością — badań była nie tylko przeszłość do roku 1939, ale i tragiczny i niestety coraz mniej dostrzegany przez współczesną publicystykę niemiecką okres wojny, okupacji i próby totalnego wyniszczenia narodu polskiego.

Dyskusja. W czasie pobytu mego w Tubindze miałem możność uczestniczenia w długiej, kilka godzin trwającej dyskusji na temat przełomu październikowego w Polsce i jego bezpośrednich skutków. Partnerami dyskusji byli właśnie młodzi ludzie, specjalizujący się w sprawach wschodnio-europejskich a szczególnie polskich. Niespodzianką dla mnie był stopień wiadomości w sprawach polskich i źródłowe przygotowanie niemieckiego audytorium. Istnieje w Tubindze zespół młodych ludzi, którzy do problemu niemieckiej „Ostpolitik" podchodzą gruntownie i starają wyrobić sobie o sprawach tych sąd, niezależny od utartych szlaków, uprzedzeń i uproszczeń.

Uderzała mnie przede wszystkim ich — myślę, że szczera, z rozumowych przesłanek powstała — świadomość, że najbliższym i bezpośrednim sąsiadem Niemiec bądź co bądź byli, są i pozostaną Polacy, że polityka niemiecka nie może, jeśli chodzi o wschód Europy, dbać jedynie o właściwe unormowanie swego stosunku do Rosji, lecz uwzględniać musi także fakt istnienia Polski jako państwa, uprawnionego i zdolnego do trwałej, samodzielnej egzystencji państwowej. Tym przede wszystkim różni się tok rozumowania młodych ekspertów niemieckich w sprawach polskich od ich poprzedników w okresie międzywojennym. Dla Republiki Wejmarskiej istnienie Polski było zawsze tylko rzeczą przejściową, koniecznym złem, „ein Saisonstaat", ceną i obiektem przetargu przy ustalaniu warunków porozumienia niemiecko-rosyjskiego. Jeśli świadomość tego, że Polska jest rzeczywistością, nie dającą się żadnymi targami, układami czy paktami, okupacją lub terrorem wymazać z karty wschodniej Europy, zaczyna istotnie przenikać do umysłów młodych uczonych niemieckich i jeżeli jest możliwe, że będzie to miało w przyszłości jakiś wpływ na niemieckie koncepcje polityczne w odniesieniu do wschodniej Europy, to byłby to niewątpliwy postęp i na drodze normalizacji stosunków pomiędzy obu nieuchronnie sąsiadującymi z sobą narodami. Nie oznacza to bynajmniej, by poglądy tych młodych Niemców, ich ocena przeszłości i przyszłości polityki polsko-niemieckiej mogły być teraz w całości do przyjęcia przez nas, i to nie tylko w sprawach granicy.

Czy tak czy inaczej środowisko w Tubindze bardziej jednak aniżeli inne, „pruskie" ośrodki niemieckiej myśli politycznej sprzyja dyskutowaniu i rozpatrywaniu spornych poglądów. Na mentalności „szwabskiego" szczepu niemieckiego nie ciążą w tym stopniu uprzedzenia i obciążenia przeszłości jak na Prusakach lub Niemcach, wychowanych w duchu tradycji pruskiej. Nie jest rzeczą przypadku, że głosy pewnego umiaru, jakie w ostatnich miesiącach przejawiały się w przemówieniach i publikacjach niemieckich na temat stosunku do Polski, pochodzą w znacznej mierze od ludzi „Szwabii", tej najstarszej kolebki niemczyzny. Profesor Carlo Schmid, prezydent Bundestagu Gerstenmaier, redaktor „Rheinischer Merkur" Wenger, to wszystko synowie tego pięknego zakątka ziemi niemieckiej.

Instytut Historii Wschodnio - Niemieckiej w Tubindze jest spośród wszystkich niemieckich ośrodków badawczych wschodniej Europy instytucją najpoważniejszą. W środowisku tym nie spotyka się płytkich i demago-

gicznych argumentów rewizjonistycznych, jakimi organizacje uchodźców i ośrodki „naukowe" im patronujące karmią szeroką masę czytelników niemieckich. Argumenty wytaczane w Tubindze mają swój ciężar gatunkowy. Walka z nimi nie jest rzeczą łatwą i niebezpieczeństw mogących zagrażać polskiemu punktowi widzenia z tego ośrodka nie należy lekceważyć. Przeciwstawienie się poglądom, będącym wynikiem prac tego ośrodka, wymagałoby z naszej strony najwyższego wysiłku i koncentracji najpoważniejszych mózgów polskich w Kraju i na emigracji. Na razie toczyły się tylko towarzyskie, że tak powiem, „przyjazne" rozmowy, do niczego nie zobowiązujące. Ale przyjdzie kiedyś moment, w którym stoczona będzie walna bitwa naukowa i polityczna o układ stosunków sąsiedzkich pomiędzy Polską i Niemcami. Do rozmów tych musimy być przygotowani jak najgruntowniej i zaprezentować partnerów, którzy by znajomością przedmiotu, erudycją i przygotowaniem przewyższali przeciwników niemieckich. Niełatwe i odpowiedzialne zadanie staje w tym względzie przed nauką polską i przed tymi jej instytucjami, którym przyjdzie kiedyś podjąć dyskusję z poglądami kształtującymi się w niemieckim instytucie w Tubindze.

St. Czechanowski

DECENTRALIZACJA

Decentralizacja jest słowem, które na Zachodzie raczej wzbudza sympatię i nawet — w niektórych wypadkach — radość. W Rosji zawsze musi być odwrotnie. Decentralizacja, pojęcie tak przeciwne wszystkiemu, co się dotychczas działo w tym kraju w dziedzinie organizacji państwowej — jest w tej chwili wprowadzana w czyn przez najwyższe państwowe czynniki sowieckie. Nie jest to takie proste, jakby się zdawało. Ponieważ „decentralizacja" dla olbrzymiej rzeszy urzędniczej moskiewskiej — jest wyrokiem wygnania, nawet — likwidacji, rzecz jasna, że te właśnie szerokie rzesze urzędnicze opierają się jej z całej siły. Centralizacja dała im chleb, centralizacja była ich siłą, ich obroną, ich sensem myślenia. Centralizacja wyniosła ich, że tak rzec by można „ponad trony" — więc nic dziwnego, że walczą, aby ją dalej utrzymać.

Lokalny patriotyzm. Przedstawicielem walczącej rzeszy urzędniczej jest w tej chwili minister skarbu, sam Swerew. Na początek ogłosił artykuł w „Prawdzie". W tym artykule skarżył się gorzko na plan Chruszczowa zmierzający do rozproszenia centralnych urzędów po poszczególnych „obłastiach" i „republikach". Przede wszystkim widzi w tym Swerew zamach na sowiecką ideologię, w której całość ma znaczenie i jest celem, nie zaś „cząsteczka", chorująca przeważnie na „lokalny patriotyzm". I tym patriotyzmem lokalnym grozi Chruszczowowi, oskarżając go, że wydaje na łup lokalnych patriotów sprawy istotne dla związku republik sowieckich.

Cała ta historia dość niedyskretnie uchyla kurtyny wielu tajemnic władania w kraju Sowietów. I tak: Swerew przewiduje z przestrachem, że zdarzyć się może, iż niektóre z Sownarchozów, dzięki rozwiniętemu przemysłowi na ich terenie, oraz dzięki dobrej gospodarce rolnej przynoszącej dochody, pewnego dnia przyjdą do przekonania, że należy podwyższyć zarobki robotnika, obniżyć natomiast ceny produktów. Jakie będą konsekwencje? — biada Swerew i szybko je wymienia. A więc moskiewska centrala nie otrzyma w daninach i podatkach dostatecznej ilości pieniędzy, by nimi rozporządzać według potrzeb Związku Sowietów na dalszy postęp w dziedzinach przemysłu i rolnictwa, etc., a więc zabraknie środków na zakładanie nowych ośrodków badawczych, czy laboratoriów doświadczalnych. Po drugie: centrala nie będzie wtedy mogła pomagać tym rejonom przemysłowym, które dotychczas zależne były całkowicie od zasiłków centrali. Wreszcie: zacznie się niekontrolowana wędrówka robotników z rejonów biednych do rejonów bogatych, w poszukiwaniu wyższego standardu życiowego, przy mniejszych wydatkach.

Swerew nie przytoczył tych argumentów bez dowodów, co mu się chwali, bo daje to nam możność poznania stosunków panujących w sowieckim świecie pracy, o wiele dokładniej niż na podstawie uczonych wywodów. Otóż na początku tego roku robotnicy pewnego bogatego rejonu ukraińskiego zażądali podwyżki płac dowodząc, że ponieważ więcej pracują niż robotnicy innych rejonów, oraz że więcej osiągnęli niż ich towarzysze — więc należy im się więcej...

To zjawisko nazywa Swerew „lokalnym patriotyzmem", a więc każde życzenie masy robotniczej w kierunku polepszenia życia i lepszych zarobków jest dla niego właśnie tylko „patriotyzmem lokalnym", to znaczy śmiertelnym grzechem przeciw skarbowi, kontroli, podatkom, dyscyplinie, Marksowi, Engelsowi, etc...

A jednak ukazało się w „Prawdzie"! Czyżby Swerew był przeciwnikiem Chruszczowa? I to w „Prawdzie"? Należy przypuszczać, że to jest mało prawdopodobne. W artykule Swerewa znajdujemy zalecenie ministra skarbu do władz najwyższych, by surowiej kontrolować Sownarchozy niż jakiekolwiek bądź inne „samodzielne" republiki.

I dlatego nasuwa się pytanie, czy aby decentralizacyjny plan Chruszczowa nie będzie kontrolowany centralnie przez sowieckie ministerstwo skarbu? Byłoby to najlepszym i najskuteczniejszym systemem centralnej kontroli, może nawet bardziej skutecznym — niż NKWD. Niewątpliwie, lecz z punktu widzenia Chruszczowa rzecz zdradza poważne niedomagania, gdyż w tym wypadku dyktatura Chruszczowa byłaby zastąpiona przez dyktaturę Swerewa...

Jest jeszcze jeden kandydat na dyktaturę w tym towarzystwie, jak się dowiadujemy — również z łamów „Prawdy": Gosbank w osobie Popowa proponuje, by rozdział kredytów dla Sownarchozów był regulowany w zależności od stopnia wiernego wykonywania przez nie „zleceń" Moskwy. Nieposłuszne Sownarchozy będą się musiały obywać bez kredytów... Gosbank, przy pomocy swych 9.690 branży lokalnych byłby rozdzielcą kredytów, krótko mówiąc — miałby dyktatorską władzę — Popow... Popow idzie dalej nawet w swym propozycjach: dochodzi do przekonania, że dotychczasowe prawa „delegatów" do Centrali Bankowej, głównie w dziedzinie kredytów, winny być zniesione wraz z delegatami... To ostatnie wyjaśnia nam sprawę całkowicie i ostatecznie.

M. T. Liss

CHRUSZCZOW ZABIEGA O CHŁOPÓW

Szef sowieckiej Partii Komunistycznej Chruszczow czyni niewątpliwie duże wysiłki, by podnieść rolnictwo sowieckie z upadku, w jakim znalazło się ono w okresie rządów Stalina. Ostatnio Chruszczow rzucił hasło prześcignięcia przez Związek Sowiecki Stanów Zjednoczonych w zakresie produkcji mleka, masła i mięsa na głowę ludności — i to już w najbliższych latach. Pod znakiem tego wyścigu stoi obecnie cała propaganda sowiecka i oczekiwane zwycięstwo ma się stać, wedle wyrażenia Chruszczowa, torpedą, która ugodzi w podstawy kapitalizmu.

Fanfary Chruszczowa wydają się przedwczesne, gdyż nawet jego eksperci w zakresie spraw rolniczych oświadczyli, że zwycięstwo w tym wyścigu osiągnięte być może w najlepszym razie w roku 1975. Do tego zaś czasu farmerzy amerykańscy mogą się wysforować naprzód bardzo znacznie, jak wykazuje analogia z różnymi działami przemysłu i rolnictwa, w których Ameryka bez trudności utrzymuje swoje pierwszeństwo.

Lżejszy kurs wobec wsi. Chłopi stanowią wciąż jeszcze 45% ludności Związku Sowieckiego. Los ich był pożałowania godny w okresie kolektywizacji i związanego z nią terroru, któremu towarzyszyła często klęska głodu (zwłaszcza na Ukrainie). Także w późniejszym okresie rządów Stalina położenie chłopów było nader ciężkie, co zresztą spowodowało katastrofalne skutki dla produkcji rolniczej sowieckiej. Jeszcze przed śmiercią Stalina stan rzeczy począł jednak ulegać pewnym zmianom. Od dokonanej w roku 1953 reformy Malenkowa w zakresie podatków i kontyngentów po rekordowe żniwa roku 1956, zaszedł szereg wydarzeń, które poprawiły dolę chłopów o tyle, o ile to jest w ogóle możliwe w ustroju marksistowskim.

Obecne ambicje Chruszczowa stanowią w tym zakresie dalszy etap. Chlubi się już on takimi sukcesami, jak podjęcie uprawy kukurydzy na wielkich obszarach, zadekretowane z góry, po dyktatorsku, oraz oddanie pod uprawę 35 milionów hektarów nowej ziemi. W parze z tym idą zabiegi Chruszczowa o pozyskanie chłopów. Ostatnio podczas manifestacji w Leningradzie zapowiedział on, wśród entuzjazmu obecnych na niej chłopów, że począwszy od przyszłego roku zniesione będą przymusowe dostawy dla państwa, jeśli chodzi o same zagrody chłopskie. Zarządzenie to oznacza, że chłop kołchoźniany nie będzie odtąd zmuszany do oddawania państwu określonych ilości przybytków ze swego małego gospodarstwa, przede wszystkim mięsa i masła, po cenach, które stanowią zaledwie jedną piątą cen na wolnym rynku.

Chruszczow bagatelizował to tak ważne dla ludności chłopskiej zarządzenie, stwierdzając, że rzucanie na rynek produktów rolnych z własnych gospodarstw chłopskich nie odgrywa obecnie żadnej poważniejszej roli w stosunku do całości produkcji rolnej Związku Sowieckiego. Z drugiej strony, musiał on przyznać, że skierowanie produktów zagród chłopskich na wolny rynek i bodziec, jaki to daje chłopom, poprawi położenie aprowizacyjne całej ludności.

W świetle doktryny komunistycznej. To jednak jeszcze nie wszystko. Wspomniane zarządzenie stwarza dla chłopa poważne źródło dochodów, które pozwoli mu poświęcać więcej uwagi gruntowi w swej zagrodzie i inwentarzowi żywemu. Ten stan rzeczy stoi w sprzeczności z dotychczasową praktyką władz komunistycznych, która — poprzez zmniejszanie gruntów zagród chłopskich i stanu liczebnego bydła — zmierzała do zamienienia chłopa po prostu w robotnika rolnego, pozbawionego ziemi i wynagradzanego na modłę fabryczną — i zlikwidowania w ten sposób warstwy chłopskiej, jako „ostatniego elementu kapitalistycznego" w Związku Sowieckim. To jest właśnie przyczyną, dlaczego Chruszczow próbował bagatelizować swe zarządzenie, by nie powstało wrażenie odstępstwa od czystej linii partyjnej.

OSKARŻENIE

Komisja Specjalna Narodów Zjednoczonych, złożona z przedstawicieli pięciu państw — Australii, Cejlonu, Danii, Tunisu i Urugwaju — opublikowała raport swój w sprawie powstania węgierskiego.

Dokument ten, liczący około 150.000 słów (w tekście angielskim), wydany w dwu tomach, zawiera 17 rozdziałów, z których każdy analizuje inny aspekt powstania i interwencji sowieckiej na Węgrzech, zgodnie z wytycznymi Zgromadzenia Generalnego ONZ, danymi komisji.

Rozdział I podaje podstawowe informacje w streszczeniu, II — chronologiczny rozwój wypadków, poczynając od wiecu studentów 20 października. Rozdział III przeprowadza analizę tezy sowieckiej i obecnego komunistycznego rządu Kadara, że mianowicie powstanie zostało wywołane przez „koła reakcyjne" dla przywrócenia na Węgrzech ustroju kapitalistycznego, oraz że prowokacja ta była wsparta przez Zachód i węgierskie czynniki emigracyjne. Komisja stwierdza, że teza ta jest bezpodstawna.

Następne rozdziały ugrupowane są w trzy części: I — omawia i kwalifikuje zbrojną interwencję sowiecką, II — ocenia wpływ tej interwencji na niepodległość państwa węgierskiego, III —dotyczy innych przykładów gwałcenia praw narodu węgierskiego, włącznie z represjami sowieckimi i deportacjami do Rosji.

W części pierwszej, rozdziały: IV i V analizują fazy interwencji i przebieg. Z wywodu wynika, że plany i przygotowania zbrojnej interwencji były w toku jeszcze przed 20 października, a więc na szereg dni przed wybuchem powstania. Znajdujemy tam rzeczowe dowody życzliwego stosunku części wojsk sowieckich stacjonowanych na Węgrzech, do ludności i jej aspiracji. Z analizy przebiegu negocjacji między rządem premiera Nagy i dowództwem sowieckim co do wycofania wojsk oraz ponownej agresji, wynika zła wiara sowieckiego kontrahenta: „...Badanie ruchu wojsk — konkluduje wywód — ...doprowadza do wniosku, że pomimo zapewnień danych premierowi Nagy przez sowieckich przywódców, istniał już konkretny plan ponownego podboju i ujarzmienia Węgier przy pomocy siły zbrojnej. Ten plan właśnie został w pełni przeprowadzony..." W rozdziałach VI i VII raport rozprawia się z argumentacją sowiecką i komunistów węgierskich, że interwencja sowiecka była dokonana na zaproszenie Węgier. Komisja stanęła na stanowisku, że badania wykazują, iż rząd premiera Nagy nie zwracał się o pomoc do Sowietów, że rząd ten nie utracił całkowicie panowania nad sytuacją ani nie był zagrożony przez „kontrrewolucyjną reakcję", a więc „...wycofanie się Sowietów w ostatnich dniach października nie było niczym innym jak tylko taktycznym manewrem, podyktowanym zamiarem armii sowieckiej, by móc dokonać skuteczniejszej interwencji w możliwie najszybszym czasie..." Rozdział VIII omawia prawny aspekt powstania i negocjacji węgiersko-sowieckich z punktu widzenia międzynarodowego.

W części drugiej, rozdział IX przedstawia przyczyny, które doprowadziły naród węgierski do oporu, protestów i wybuchu. Wynika z tych materiałów ogólno-narodowy charakter powstania, rola młodzieży, robotników i sfer intelektualnych. Raport podaje pełne teksty najważniejszych rezolucji, manifestów i uchwał z żądaniami; komentarze opierające się na dokładnym zbadaniu sytuacji wskazują, że zasadniczym powodem wystąpień było pragnienie osobistej wolności i niepodległości kraju. W rozdziale X znajduje się szczegółowa dokumentacja działalności tajnej policji komunistycznej węgierskiej — AVH i prowokacyjnych wystąpień tej policji wobec społeczeństwa, które przyspieszyły wybuch powstania; represje policji wobec bezbronnych tłumów i pomoc udzielona policji przez wojska sowieckie, zjednoczyły naród w oporze przeciwko okupantowi i reżymowi narzuconemu. Rozdział XI podaje charakterystykę powstania, metod i celów Rad Rewolucyjnych i Rad Robotniczych oraz wykazuje poparcie ludności udzielone tym organom, których celem było zaprowadzenie ustroju demokratycznego na Węgrzech. Cechy autentycznej postępowej demokratyzacji są dalej uwidocznione w rozdziale XII, który zajmuje się działalnością rządu Nagy w czasie kilku dni wolności; ze składu rządu i jego polityki wynika wyraźnie, że nie chodziło bynajmniej o powrót do stosunków przedwojennych, a odwrotnie wszystkie przemiany zdążające w kierunku sprawiedliwości społecznej miały być utrzymane, po zrzuceniu naleciałości narzuconych przez komunizm sowiecki. Rozdziały XIII i XIV opisują akcję rządu Kadara, opartego o bagnety sowieckie, jego represje wobec ludności, której poparcia nie miał, likwidację partyj niekomunistycznych i Rad Robotniczych.

Część trzecia, w rozdziałach XV i XVI, opisuje represje sowieckie, deportacje i gwałcenia praw człowieka w odniesieniu do narodu węgierskiego. Raport zawiera dowody ostatecznie przekonywujące, że deportacje ludności do Sowietów miały miejsce i że wielu deportowanych Węgrów jeszcze przebywa na terenie Związku Sowieckiego. Zeznania świadków przynoszą ciekawe przejawy sympatii, z jaką strażnicy sowieccy odnosili się niejednokrotnie do więźniów węgierskich i deportowanych, traktując ich lepiej niż byli traktowani w więzieniach węgierskich przez AVH.

Trzynaście konkluzji zamyka raport. W świetle ich, powstanie przedstawia się jako samorzutny akt woli ciemiężonego narodu. Powstanie było dziełem w pierwszym rzędzie młodzieży i robotników oraz inteligencji, ożywianych duchem wolności i sprawiedliwości społecznej. Nie było żadnego związku z przejawami reakcji politycznej i społecznej. Dywersja zagraniczna, ani pomoc z zagranicy nie odegrały żadnej roli. Powstanie nie było planowane, natomiast wyraźnie wynika, z przebiegu wydarzeń, że komuniści węgierscy i sowiecki okupant liczyli się z możliwością wybuchu i przygotowali, jeszcze przed wybuchem rozruchów, swoją kontrakcję. Brakło zupełnie podstaw, nawet w postanowieniach Paktu Warszawskiego, które by usprawiedliwiały pierwszą a tym mniej drugą interwencję zbrojną sowiecką na Węgrzech. Nie ma podstaw do twierdzeń sowieckich, podtrzymywanych następnie przez rząd Kadara, że wojska sowieckie działały na Węgrzech w oparciu o zaproszenie ze strony rządu węgierskiego. Rząd Nagy'ego nie prosił o interwencję; jedynie chyba niektórzy jego członkowie mogli zwrócić się do Sowietów. Rząd Kadara doszedł do władzy później, ale i tu brak dowodów, że oficjalne zwrócenie się nastąpiło. Linczowanie członków AVH ze strony tłumów miało miejsce, ale nosiło ono charakter ludowego oburzenia; natomiast represje policji pod rządami Kadara było planowaną oficjalną polityką.

„...W świetle faktów wykazujących rozmiar zbrojnej interwencji, rozpatrywanie sprawy węgierskiej przez Narody Zjednoczone było i jest prawnie uzasadnione... Przemożna interwencja zbrojna jednego mocarstwa na terytorium obcego państwa, z wyraźnym zamiarem wtrącania się w wewnętrzne sprawy tego kraju, musi być, także i według definicji agresji przyjętej przez sam Związek Sowiecki, sprawą obchodzącą całą zbiorowość międzynarodową..."(!)

RAPTULARZ WYDARZEŃ

29 maja —

✱ DULLES oświadczył, że szybkość zawarcia częściowego porozumienia ze Związkiem Sowieckim w sprawie ograniczenia zbrojeń jest rzeczą ważniejszą niż zakres tego porozumienia. Dlatego obecne propozycje Stanów Zjednoczonych ograniczają się do Arktyku, a nie obejmują Europy środkowej i Niemiec, gdzie sytuacja jest bardzo skomplikowana.

✱ STASSEN wyjaśniał Radzie NATO w Paryżu pogląd Stanów Zjednoczonych na sprawę ograniczenia zbrojeń.

✱ BUDŻET OBRONY Stanów Zjednoczonych został — mimo apelu Eisenhowera — zmniejszony przez Izbę Reprezentantów o 1.200 milionów dolarów i skierowany do Senatu.

✱ EISENHOWER przyjął dymisję sekretarza skarbu Humphreya i mianował na jego miejsce R. Andersona, dotychczasowego zastępcę sekretarza obrony.

✱ IZBA LORDÓW — na żądanie rządu — odsunęła debatę o położeniu w Europie wschodniej.

✱ W ALGERII, we wsi Meluza, partyzanci zabili 301 muzułmanów za sprzyjanie Francuzom.

✱ JORDANIA zwróciła się do Wielkiej Brytanii z prośbą o kontynuowanie pomocy gospodarczej.

✱ KOMISJA 15 PAŃSTW, debatująca w Paryżu nad sprawą handlu z Chinami, nie doszła do porozumienia. Wielka Brytania, Francja, Norwegia i Japonia pragną skasować specjalne embargo do Chin.

30 maja —

✱ ADENAUER, powróciwszy ze Stanów Zjednoczonych, oświadczył: „Przyczyniliśmy się do sprawy rozbrojenia i zmniejszenia międzynarodowego napięcia: uzyskaliśmy również zdecydowane poparcie w sprawie zjednoczenia Niemiec."

✱ ARCYBISKUP MAKARIOS oświadczył w Atenach, że rokowania w sprawie Cypru na podstawie dotychczasowych propozycji brytyjskich są niemożliwe. Rozwiązanie musi być poszukiwane na zasadzie samostanowienia, a etapem pośrednim mogłoby być objęcie administracji przez ONZ lub jakieś państwo z ramienia ONZ.

✱ W BEJRUCIE, stolicy Libanu, doszło do rozruchów, kierowanych przez zwolenników Nassera i Związku Sowieckiego.

31 maja —

✱ PRÓBNY POCISK KIEROWANY dalekiego zasięgu wystrzelono na Florydzie w Stanach Zjednoczonych.

✱ RZĄD BRYTYJSKI postanowił samodzielnie znieść specjalne embargo w stosunku do Chin. S. Lloyd wyraził nadzieję, że większość państw pójdzie za przykładem W. Brytanii. Stany Zjedn. wyraziły niezadowolenie z powodu tego posunięcia.

✱ BRYTYJSKO-EGIPSKIE rokowania w Kairze zostały przerwane bez rezultatu.

✱ TUNIS zażądał usunięcia wojsk francuskich ze swego terytorium.

✱ NEHRU zaprzeczył, by Związek Sowiecki proponował obecnie Indiom zakup broni.

SPRAWY GOSPODARCZE

KŁOPOTY BOGACTWA

Coraz więcej Amerykanów jeździ do pracy własnym samochodem. Następstwem tego jest — jak stwierdza czasopismo „Business Week" — że wiele zakładów przemysłowych nie może się rozszerzać. Potrzebują one każdego pozostałego wolnego kawałka ziemi w okolicy na miejsce parkowania aut. Często jednak kawałków takich brak już w ogóle. Około 90 proc. wszystkich fabryk stoi w pobliżu zwartego zabudowania miejskiego. Sąsiednie grunty i tereny bądź nie są do dyspozycji w ogóle, bądź też są tak drogie, że gospodarczo uzasadnione mogłoby być tylko wzniesienie na nich budynków czteropiętrowych.

Jest rzeczą paradoksalną, że kłopoty te powstały w związku z rosnącym wciąż bogactwem Ameryki, które wyraża się m. in. olbrzymią ilością samochodów. W roku 1940 było ich 27 milionów, w roku 1950 — 40 milionów. Na koniec roku bieżącego przypuszczalną liczbę samochodów w Stanach Zjednoczonych szacuje się na 57 milionów, a do roku 1967 liczba ta dojdzie zapewne do 80 milionów.

Gdzie lokować te samochody? W miarę zwiększania się liczby personelu w przedsiębiorstwach, w przeważającej większości wypadków następowało także terenowe powiększenie zakładów. Sprawa miejsca na parkowanie staje się specjalnie trudna przez to, że pracownicy uważają jego zarezerwowanie za przysługujące im udogodnienie, albo nawet za roszczenie prawne, przy którym obstają.

Najprostszym wyjściem dla firm, które mogą sobie na to pozwolić, jest przesiedlenie się na inny teren, na którym z góry będzie dosyć miejsca na realizację dalszych planów. Tak np. oddział Lincolna zakładów Forda przeprowadził przed budową nowej fabryki dokładne obliczenia: ilu funkcjonariuszy i robotników przybywa do pracy samochodem? Ilu jeszcze do tego dojdzie? W rezultacie stworzono miejsca na parkowanie dla 3.600 aut, przy przewidywanej szczytowej liczbie 5.000 pracowników. Można jednak się przeliczyć, co przydarzyło się pewnej firmie bostońskiej. Zbudowała ona w roku 1954 nową fabrykę i przyjęła, że 75 procent jej personelu będzie używało publicznych środków komunikacyjnych. Pierwszego zaraz dnia tylko garstka nie przyjechała własnym autem. Od tego czasu firma wydzierżawia wciąż nowe przylegające tereny na parkowanie.

Większość przedsiębiorstw, które muszą pozostać na dawnym miejscu, uprawia politykę strusią. Ignorują one po prostu problem parkowania. Jeden z „managerów" powiedział: „ Nasi ludzie dotąd zawsze jeździli autobusami, mogą więc robić to dalej". Inne przedsiębiorstwa próbują znaleźć jakiejś wyjścia. Jedna z fabryk na środkowym zachodzie wypełniła moczary koło budynku fabrycznego odpadkami z własnej produkcji, inna znów kupiła cztery źle zagospodarowane bloki mieszkalne, kazała je rozebrać i następnie wyrównać teren, trzecia urządziła miejsce do parkowania dla 700 wozów na powierzchni dachu.

Niektóre z firm zamyślają nawet pokryć dachem cały teren fabryczny. Koszta tego nie będą większe niż przy zakupieniu nowego terenu z wyrównaniem gruntu, oświetleniem i ogrodzeniem. Pewne przedsiębiorstwo naftowe w Los Angeles posiada podziemne miejsce do parkowania dla 1.500 samochodów w swym budynku administracyjnym, mającym 13 pięter.

Jedna z wielkich fabryk metalurgicznych chce wprowadzić zarządzenie drastyczne, a mianowicie zabronić używania samochodów przez pracowników, którzy mieszkają w takiej odległości, że mogą stamtąd przyjść tanim kosztem piechotą. Jeden z dyrektorów powoływał się na to, że niektórzy z jego pracowników mają dalej do fabryki z miejsca parkowania niż z domu. Zachęca się też do wspólnego używania jednego wozu. Ze strony fabryki obiecuje się takiemu „poolowi" czterech lub więcej pracowników miejsce do parkowania blisko wejścia do fabryki, podczas gdy przyjeżdżającym pojedyńczo przydziela się miejsca odległe.

Płaskie, sięgające daleko, zaopatrzone we wszystkie środki pomocnicze zakłady fabryczne — kończy „Business Week" — uważane były do tej pory za ideał przyszłego rozwoju przemysłowego. Teraz jednak chmary aut rozwój ten mogą całkowicie popsuć.

Dodajmy, że kłopoty te dotyczą jak dotąd tylko Stanów Zjednoczonych. Bardzo do nich daleko zwłaszcza krajom Europy środkowo-wschodniej.

OSZCZĘDNOŚĆ PRZEZ NOWY PODZIAŁ CZASU PRACY

Pięćdziesięciu czołowych przemysłowców francuskich opracowało plan, który w razie urzeczywistnienia nie tylko uprzyjemni życie ludzi pracujących, ale zwiększy też zyski z produkcji o mniej więcej miliard funtów szterlingów, bez zainwestowania choćby grosza. Plan ten tak się podobał, że przyłączyli się do niego dyrektor naczelny państwowej sieci kolei francuskich i prawie wszyscy wybitniejsi pracodawcy w przemyśle, produkcji paliwa, zakładach ubezpieczeń i konsorcjach domów towarowych.

Owym „jajkiem Kolumba" jest nowy podział godzin pracy. Przez pracę tzw. „szychtami", o różnych porach, osiągnęłoby się inny podział zaopatrzenia w energię i przewożenia pracowników. Takie same „szychty" przeprowadzane być miałyby przy udzielaniu urlopów, a tydzień pracy byłby przedłużony, bez przedłużania oczywiście czasu pracy pojedyńczych pracowników.

Autorzy planu podkreślają, że jak dotąd cały materiał produkcyjny i transportowy musi być nastawiony na czas głównego zapotrzebowania, trwający tylko niewielką liczbę godzin. Wymaga to olbrzymiego nakładu inwestycyjnego, który nic nie przynosi.

Raymond Villadiers, prezes komisji finansowej francuskich zakładów elektrycznych, przytacza następujący przykład: „Jeśli siedmiu ludzi pragnie kąpać się równocześnie, potrzeba do tego siedmiu wanien. Jeśli natomiast każdemu wyznaczy się inny czas, wystarczy jedna wanna".

W chwili obecnej cały przemysł pracuje w tych samych godzinach, robotnicy idą do pracy o tej samej godzinie od Renu po Atlantyk, od Normandii po Côte d'Azur. Dla Paryża oznacza to uruchomienie trzykrotnie większej ilości autobusów, pociągów metra i pociągów podmiejskich, niż byłoby potrzeba, gdyby godziny pracy były ułożone inaczej. Jedno z towarzystw ubezpieczeniowych w Paryżu wprowadziło w życie ten pomysł, przekładając czas pracy o pół godziny. Jego 4.000 pracowników, którzy dotąd zderzali się z innymi pracownikami i walczyli z nimi o miejsca przy wejściach do metra i przystankach autobusowych ruchliwej dzielnicy Boulevard Hausman, i to cztery razy dziennie, obecnie przy zmienionym czasie pracy znaleźli dużo wygodniejszy sposób podróżowania. Nawiasem powiedziawszy podobną rzecz zrobiły już jakiś czas temu niektóre banki i firmy handlowe w Nowym Jorku.

Sfery gospodarcze Francji zdają sobie powoli sprawę z tego, że jest rzeczą wprost niemądrą trzymać sklepy otwarte tylko wtedy, kiedy większość klientów musi pracować w fabrykach i biurach i nie ma możności dokonywania zakupów. W Paryżu jednak jak dotąd władze nie pozwalają żadnemu właścicielowi sklepu na niezamykanie go w porze wieczornej.

CZY PRENUMERUJESZ
STALE KSIĄŻKI
„BIBLIOTEKI POLSKIEJ"?

S P O R T

PIŁKARZE RĘCZNI

Polska piłka ręczna (siatkówka, koszykówka) ma w Wielkiej Brytanii piękne tradycje. Przed dziesięcioma laty koszykarze 3 Dywizji Strzelców Karpackich (słynna „Carpathians") zdobyli mistrzostwo i puchar Anglii i Walii, pokonali na Wembley reprezentację Wielkiej Brytanii, londyński A.Z.S. przez szereg lat miał trzy drużyny w ligach londyńskich, Polonia (Edynburg) była najlepszą drużyną w Szkocji...

W ostatnich latach powstały nowe drużyny, jak Pogoń (Birmingham), Iskra (Bristol), Polonia (Wolverhampton), Unitas (Manchester), Lechia (Londyn); do niedawna drużyna polskiej szkoły średniej w Lilford zwyciężała wysoko szkolne drużyny angielskie... Ponadto polscy zawodnicy, przeważnie studenci, grają w zespołach angielskich.

W obydwu tych dyscyplinach sportu Polacy odgrywają na wyspie niepoślednią rolę, w siatkówce wyraźnie dominują i są propagatorami tej gry.

Mistrzostwa koszykówki. Zawody rozegrano w Birmingham, w pięknej, nowoczesnej sali uniwersyteckiej. Startowały: Pogoń (Birmingham), Iskra (Bristol), Unitas (Manchester) i Polonia (Wolverhampton).

Rozstawiono Pogoń jako wicemistrza z r. 1956 i Iskrę jako mistrza ligi Bristol. Dolosowano do nich Polonię i Unitas. Zwycięzcy z tych spotkań grali o tytuł mistrza, pokonani grali o trzecie miejsce.

W pierwszym spotkaniu Iskra zwyciężyła Unitas 40:30 (19:12). Iskra, grająca lepiej taktycznie, wystartowała siedmioma punktami przewagi, ale Unitas odpowiedział czterema punktami, Iskra utrzymała przewagę do przerwy. Po przerwie Iskra w dalszym ciągu jest w przewadze, ale fantastyczny zryw Unitasu dał mu prowadzenie 28:25 punktów. Iskra znowu się wzięła solidnie do roboty i wywalczyła sobie miejsce w finale.

W drugim spotkaniu Pogoń była niemile zaskoczona szalonym tempem młodej Polonii, która zdobyła prowadzenie 12:1. To zmusiło bezwzględnie lepszą Pogoń do wysiłku i dania koncertu. Do przerwy wynik brzmiał 28:14 dla Pogoni. Po przerwie, ambitna Polonia zdołała dwukrotnie „deptać po piętach" Pogoni, ale ostatecznie Pogoń wygrała mecz 59:47 punktów.

W spotkaniu o trzecie miejsce Unitas pokonał Polonię 55:41 (29:21). Na Polonii odbił się poprzedni mecz z Pogonią, Unitas miał półtoragodzinną przerwę, był świeższy i poza krótkimi okresami nadawał ton grze.

W meczu finałowym o tytuł mistrza na rok 1957, Pogoń pokonała zdecydowanie Iskrę w stosunku 52:34 (32:15). Początek gry nie zapowiadał takiego przebiegu. Iskra prowadziła 4:2, 11:10, lecz musiał opuścić boisko najlepszy gracz i kapitan drużyny Chodorowski (odniósł kontuzję). Pogoń w mig wykorzystała tę lukę i zapewniła sobie do przerwy wyraźną przewagę (32:15). Powrót Chodorowskiego po przerwie znacznie poprawia sytuację Iskry, Chodorowski strzela 15 punktów, lecz Pogoń gra spokojnie i utrzymuje przewagę do końca, zdobywając tytuł mistrza na rok 1957. Pogoń grała w składzie: K. Reda, J. Reda, Z. Siemaszkiewicz W. Maliszewski, J. Szostak, W. Jankowski, E. Przyrodzki, A. Wojciechowicz. Pogoń już raz była mistrzem — w roku 1955.

Najlepszymi strzelcami mistrzostw byli zawodnicy drużyn, które zajęły III i IV miejsca: Kozłowski (Unitas) — 41 punktów, Lesaczyński (Polonia) — 38 pkt., J. Reda (Pogoń) — 33 pkt.

Nalepiej taktycznie grającą drużyną była jednak Iskra, która w swym składzie ma dwóch młodych inżynierów (Chodorowski i Starzewski). Wszyscy zawodnicy Iskry są dobrymi strzelcami, każdy z nich zdobył podczas mistrzostw po kilkanaście punktów.

Międzynarodowe turnieje siatkarzy. Tak się złożyło, że bohaterami turniejów są znowu zawodnicy Pogoni (Birmingham), która w siatkówce od lat jest najlepszą drużyną na wyspach brytyjskich i trzykrotnym mistrzem emigracji. Międzynarodowe turnieje: w Londynie — organizowane przez Brytyjski Związek Siatkówki, w South Ruislip — przez dowództwo wojsk amerykańskich w Anglii oraz turniej w Leicester — (K. S. Orkan - Leicester) potwierdziły supremację Pogoni, która w każdym z nich była zwycięzcą.

W Londynie startowały drużyny: londyńskich straży pożarnych, studium wychowania fizycznego z Lawborough, London University, Łotysze (All Stars) i Amerykanie stacjonowani w Londynie (London Rockets). Pogoń spisała się dzielnie, nie przegrywając żadnego spotkania, a w finałowym meczu pokonała Amerykanów 15:7, 15:7, demonstrując wysoki poziom. Zawody rozegrali w angielskiej YMCA. Pogoń potym meczu dostała wiele zaproszeń na mecze towarzyskie.

W South Ruislip, w międzynarodowym turnieju konkurencja była o wiele silniejsza. Amerykańscy organizatorzy sprowadzili z Niemiec mistrza wojsk amerykańskich (Frankfurt), poprosili londyński AZS, London University, Łotyszów i trzy drużyny amerykańskie, w tym London Rockets.

Pogoń została rozstawiona jako nr 1, Frankfurt jako nr 2. Zawody rozegrano systemem podwójnej eliminacji (po dwóch porażkach drużyna odpadała). Pierwszą rundę Pogoń przeszła bez walki, a następnie spotkała się z „bratnim" AZS, którego po pięknej obustronnie grze pokonała 15:8, 15:10. W trzeciej rundzie Pogoń zmierzyła się z Frankfurtem, który dotychczas nie przegrał meczu i był typowany na zwycięzcę turnieju. Wygrała Pogoń w trzech setach 15:4, 13:15, 15:13 i znalazła się bez porażki w finale.

Frankfurt musiał jeszcze pokonać AZS, by uczestniczyć w finale. Podobne szanse miał również AZS, który uprzednio pokonał Łotyszów 16:14, 15:2. AZS-iacy nie rezygnowali z finału wyłącznie polskiego, grali doskonale (pierwszy set), prowadzili 15:14 i przegrali seta 15:17. W drugim secie AZS dotrzymał kroku Amerykanom tylko do stanu 8:8, później skapitulowali, przegrali seta 8:15 i miejsce w finale.

Finał turnieju pomiędzy Pogonią a Frankfurtem stał na najwyższym poziomie. A świetna forma „Pogoniaczy", którzy demonstrowali ostre ścięcia, efektowne bloki, walczyli zajadle o każdą piłkę i przetrzymywali przeciwnika kondycyjnie. Wygrała Pogoń w pięknym stylu 15:9, 15:6. Zdobyła srebrny puchar i utrwaliła opinię doskonałej drużyny.

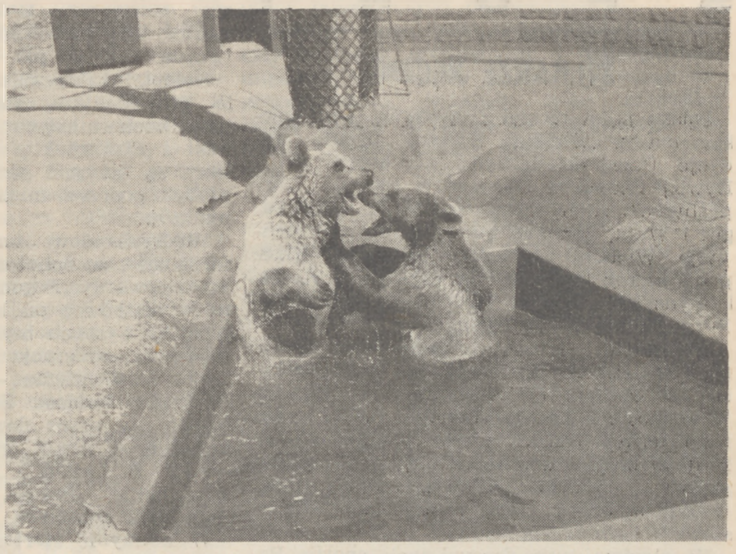
W Leicester, turniej podczas „Święta Sportowego" Orkanu dał Pogoni nowe zwycięstwo i puchar na własność miejscowego koła SPK. W ostatnich dwóch latach Pogoń była zwycięzcą pucharu. Pogoń „po drodze" pokonała 14:16, 15:5, 15:9, Pogoń II 15:10, 14:16, 15:11, a w finale zwyciężyła mistrza innej grupy eliminacyjnej AZS (Londyn) 15:13, 15:1. AZS w swej grupie odniósł duży sukces po wyeliminowaniu silnej drużyny łotewskiej Banga (reprezentacja środkowej Anglii) 15:12, 11:15, 15:12 i London University 15:5, 15:10.

Drużyna Pogoni w takim składzie odnosiła sukcesy: Juszyński, Ciesielski, K. Reda, Kowalik, Sosnowski, Zwierzchowski, Wojciechowicz, Żytkiewicz. Przewaga Pogoni w siatkówce utrzyma się chyba przez szereg lat. Klub ten posiada liczne, utalentowane rezerwy. Od czasu do czasu w różnych turniejach jest reprezentowana przez trzy drużyny i dysponuje najlepszymi warunkami — ma dwa piękne boiska przy Domu Polskim w Birmingham.



Drużyna „Carpathians" bezpośrednio po zdobyciu pucharu i mistrzostwa Anglii i Walii w 1947 roku: A. Lubowiecki, A. Plucinski, K. Kapalka, J. Gregołajtys, Z. Różycki, M. Pawlak, M. Kruszewski, W. Kulikowski, B. Ritterman, W. Ćwil. Z lewej strony stoi J. Lubowiecki, kierownik i trener drużyny, z prawej T. Krasoń, kierownik Ref. W. F. 3. D. S. K., klęczy R. Welt

LUDZIE I ZDARZENIA



Avery Claslin, amerykański muzyk-entuzjasta, skomponował dzieło, które nazywa się „Ike Symphony" i — jak donosi korespondent „Figaro Litteraire" — składa się z trzech części: Pierwsza „allegro" (prezydent USA marzy o pokoju światowym), druga — „fortissimo" (prezydent pobiera decyzje), trzecia — „pastorale" (prezydent powrócił na swą farmę). W samym środku drugiej części symfonii pojawia się drobna partia odegrana wyłącznie na różnego rodzaju trąbach; „czyżby hołd oddany po drodze p. Foster Dullesowi?" — pyta złośliwiec z paryskiego tygodnika.

✱

W Anglii istnieje koło byłych „uciekinierów lotników", którym udało się w czasie ostatniej wojny przedrzeć z okupowanej Europy z powrotem do Anglii. Nosi ono nazwę RAF Escaping Society. Koło to zaprosiło obecnie do Anglii p. Georges Bonnina, francuskiego kowala z Vertou pod Nantes. Pan Bonnin ukrywał u siebie w czasie wojny angielskiego pilota, którego samolot został zestrzelony nad Francją. Pilot przebywał na strychu domu kowala, znajdującego się naprzeciwko szkoły, w której stacjonowane były wojska niemieckie tak, że przechowywanie angielskiego lotnika połączone było z wielkim niebezpieczeństwem. Być może właśnie dlatego nie został on wykryty, gdyż Niemcom nie przyszło do głowy, by ktoś mógł być aż tak odważny, aby ukrywać nieprzyjacielskiego żołnierza pod samym bokiem okupantów.

✱

Mayflower 11 jest wierną kopią statku, na którym 350 lat temu pierwsi osadnicy przybyli do Ameryki, i którego nazwa znana jest każdemu Amerykaninowi, gdyż słyszy o niej już na pierwszych lekcjach historii swego kraju. Toteż na przybycie nowego „Mayflowera" do Plymouth, Mass. szykowano się długo i uroczyście, spodziewając się co najmniej 50 tysięcy turystów z różnych części Ameryki. Rozwinięto też w tym celu odpowiednią reklamę bardziej bijącą w oczy niż kiedykolwiek. Przybyło tylko 10.000 osób, zmarnowało się 100.000 przygotowanych posiłków, nie mówiąc o innych stratach. Organizatorzy uważają, że stanowczo zaszkodziła zbyt huczna reklama, gdyż ludzie woleli oglądać przybicie statku przez telewizję niż znaleźć się w ścisku między tłumami, o których mówiły ogłoszenia reklamowe.



✱

Fala upałów, która ostatnio nawiedziła Wielką Brytanię, spowodowała, że mieszkańcy wielkich miast szukali wytchnienia wśród zieleni podmiejskich miejscowości. Komu jednak środki materialne i lokomocyjne na to zezwalały, udawał się nad morze, by w wodzie znaleźć ochłodę. Tym wszystkim, którzy chcieli choćby na chwilę popływać a nie mogli wyjeżdżać z miast, zostawały tylko baseny pływackie, do których napływ był jednak tak liczny, że przed wejściami potworzyły się długie ogonki. Jak zawsze w takich okolicznościach, ludzie „brali na cierpliwość" i pomimo upału stali uparcie w kolejce po kilka godzin, by w końcu dostać upragniony bilet i zanurzyć się w przepełnionym basenie. W londyńskim ogrodzie zoologicznym dwa niedźwiadki Nicky i Rusty korzystały również z basenu i zimnej wody. Na zdjęciu niedźwiadek Nicky, podarowany rok temu księżniczce Annie przez sowieckiego marszałka Bułganina, bawi się na swój niedźwiedzi sposób ze swym towarzyszem Rusty (z lewej strony zdjęcia). Przyglądająca się publiczność, widząc te niedźwiedzie harce w wodzie, szczerze zazdrości uszczęśliwionym zwierzakom basenu, do którego nie potrzebują one wystawać przez długie godziny w kolejce...

✱

W Danii, w miejscowości Frederikssund, jest w zwyczaju doroczne tradycyjne widowisko, w którym z zapałem uczestniczy miejscowa ludność a także i mieszkańcy okolicznych wiosek. Widowisko oparte jest na starej, pochodzącej z czasów Wikingów legendzie i gromadzi ono setki wykonawców poprzebieranych w historyczne, przekazywane z pokolenia na pokolenie, stroje. Powstają jednak arcyzabawne kontrasty, gdy między te rekwizyty historyczne wkradnie się w sposób zbyt widoczny jakiś nieuchronny akcent teraźniejszości. Kto, na przykład spotka postać starego ponurego Wikinga na pustej drodze (patrz zdjęcie), może i zadrżeć ze strachu, by potem szybko wybuchnąć śmiechem na widok roweru, na którym „Wiking" pędzi w swoją legendę. I każdy pewnie ma ochotę zapytać: „Gdzieś podział łódź swoją, Wikingu?" Nie, stanowczo nie jest łatwo pogodzić poezję dawnych czasów ze zmotoryzowanym dniem dzisiejszym.



Printed by Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734.